Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 1 sierpnia 1937 r. Nr. 31

Szarą godziną przez łąki i polany,
Gdzie kwiatów mieni się kobierzec złoty,
Błąka się cichy, rzewny, rozełkany
Głos mojej dziwnej, serdecznej tęsknoty.

W poszumie wiatru, co listkami trąca
Samotnej brzozy rosnącej u płota,
Drży jakieś echo smętne, jakaś pieśń milknąca,
To cicha moja błąka się tęsknota.

Idzie wtulona wskroś w zmierzchu szarą mgłę
Lasem, to znów wśród jasnych łanów złota,
Strącając z kwiatów rosy perliste łzy
Samotna moja, bezmierna tęsknota.

Słychać jej skargę w słowika piosence
Tam, gdzie spróchniałe na wpół małe wrota
Wiodą ku cichej, szarej Bożej męce —
Tam moja korna schyliła się tęsknota.

W krzyżu utkwiła oczy swe gasnące,
Patrząc na zczerniałą koronę ze złota —
I łzy jej z oczu spłynęły gorące,
Gdy u Stóp Bożych konała moja... za Tobą
[tęsknota.

Helena Karge.



TĘSKNOTA

WOJCIECH HOLM

41)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Była to dobrze obmyślona komedia, w ciągu której udawała, że ojciec telegrafował, aby przyjechała natychmiast do śmiertelnie chorej swej matki, która ją jeszcze przed śmiercią chce widzieć.

— Umrze matula moja — szlochała dalej — nie mając jedynego swego dziecka przy śmiertelnym łożu i zostawi mnie, sierotę, bez błogosławieństwa macierzyńskiego.

Rozpacz jej wydawała się tak prawdziwą i głęboką, że wzruszyła młodego urzędnika. Położył rękę na jej ramieniu i rzekł ze współczuciem:

— Nie płacz tak gorzko. Postaram się już o to, abyś zobaczyła jeszcze swą matkę. Za kwadrans odchodzi stąd pociąg ciężarowy do Petershagen. Przepisy nie pozwalają wprawdzie na to, aby takie pociągi zabierały także osoby, ale zrobię dla ciebie dziś ten wyjątek.

— Jakże mam panu dziękować? — zawołała Ilona uradowana — rzuciłabym się panu z wdzięczności do nóg.

Młody urzędnik zarumienił się. Schlebiała mu ta gorąca podzięka i obiecał raz jeszcze Cygance, że się nią zaopiekuje. Rzucił jej tylko gorące i pożądliwe spojrzenie.

— A czy to nie będzie za dużo kosztować? — zapytała Cyganka bojaźliwie — bo ja mam tylko kilka groszy przy sobie.

— Nic nie będzie kosztowało — zapewniał młody urzędnik.

Uszczęśliwiona cyganka złapała jego rękę i ucałowała gorąco, a potem przycisnęła ją namiętnie do piersi.

— Wielmożny panie — rzekła, patrząc na niego wilgotnymi, czarnymi jak węgiel oczyma. — Nigdy nie zapomnę o panu. Będę tak myślała jak o świętym. Proszę powiedzieć mi swoje imię, a będę się codziennie za pana modliła.

— Nazywam się Hellmuth Behnisch — odrzekł młodzieniec.

— Hellmuth! Co za piękne imię — szepnęła Ilona z zachwytem. — Może przyjdzie czas, w którym będę mogła odwdzięczyć się lepiej, niż dzisiejszymi próżnymi słowami.

Wzrok pełen obietnic akompaniował słowom cyganki.

Młody urzędnik, który się dotychczas miał za całkiem przeciętnego człowieka, napawał się z rozkoszą pochlebstwami Ilony i zaczął naprawdę wierzyć w swoją wielką szlachetność i dziwił się, że cnót i zalet jego dotychczas nie oceniono. Postarał się o to, aby Ilonę dobrze umieścić w jednym z ciężarowych wagonów i na chwilę przed odejściem pociągu wskoczył szybko do ciemnego przedziału i złoży gorący pocałunek na świeżych ustach pięknej cyganki, a do rąk jej wsunął kilka guldenów.

Potem wyskoczył równie szybko, aby ujść podziękom pięknej dziewczyny.

Ilona schowała te pieniądze do kieszeni i cieszyła się nimi niewymownie. Nie przeczuwała, jaką wielką ofiarą było to ze strony Behnischa, a gdyby



Dnia 20 lipca br. zmarł w Rzymie sławny wynalazca, ojciec radiotelegrafu — Włoch Marconi.

nawet wiedziała, nie byłaby się tym martwiła.

Uradowana cyganka następnego ranka wysiadła na stacji Petershagen. — Wziąwszy zawiniątko w ręce, weszła do poczekalni i zaczekała tam, dopóki nie potwierano sklepów.

Następnie zakupiła za część pieniędzy, które dostała od Hellmutha Behnischa, maść prowiantów i szła ciężko obładowana, ale z lekkim sercem, w stronę Felseg.

Omal, że nie skakała z uciechy, iż całą ta ucieczka tak jej się wybornie udała.

Gdyby umarł Alojzy, a hrabia Werner zakochał się we mnie jeszcze, byłabym najszczęśliwszą istotą na świecie! — mruknęła. — Alojzy wyglądał już jak trzy ćwierci do śmierci, może mi zrobi tę przysługę i klapnie.

Hrabia kocha się jeszcze na zabój w tej woskowej laleczce z leśniczówki. Ale co mi tam! Mężczyźni są zmienni, co im się dziś podoba, napełnia ich jutro wstrętem. Ufam swojej dobrej gwieździe, nie darmo urodziłam się w niedzielę.

W najlepszym humorze dotarła do zamku. Tylko jedna minęła doba, że tu nie była, a już czas ten wydawał się jej wiekiem, tak tęskniła za Wernerem!

Cyganka wyjęła klucz od drzwi wchodowych ze skrytki, gdzie go zawsze ukrywała, weszła do wnętrza i zamknęła drzwi od środka, aby nikt obcy się przez nie nie zakradał. Potem czemprędzej pobiegła zobaczyć swego więźnia.

Nieszczęśliwemu hrabiemu tych 24 godzin wydało się jak tyleż wieków. Potłukł się wprawdzie tylko zewnętrznie i nie niebezpiecznie, ale bardzo go to bolało. Leżał na swym barłogu i jęczał, gdy usłyszał kroki Ilony wystękał:

Podnieś kratę i daj mi wody, bo umieram!

— Dlaczego pan nie pił jak pan był spragniony? — spytała cyganka zdziwiona — przecież dzban z wodą jest jeszcze do połowy napełniony.

— Nie mogę się ruszyć — odpowiedział hrabia — upadłem i potłukłem się ciężko!

Podstępna cyganka nie wierzyła hrabiemu i przypuszczała, że chce ją kłamstwem doprowadzić do tego, by ona oddaliła kratę otaczającą jego łóżko i ułatwiła mu w ten sposób ucieczkę.

— To niemożliwe! — zawołała — padając na ziemię, nie można się tak bardzo potłuc. Chcesz mnie podejść i uciec!

— Przysięgam ci, że mówię prawdę! —zapewniał ją nieszczęśliwy hrabia.

Mówił to tak uroczystym, tak przekonywującym tonem, że nawet Ilona mu uwierzyła. Podniosła kratę i podała mu wodę, którą biedny Werner wypił chciwie.

Potem opatrzyła potłuczone ciało swego więźnia, mimo, że on się temu opierał.

— Słuchaj pan, panie hrabio! — rzekła stanowczym tonem — upadł pan z dość znacznej wysokości. Wygląda mi to tak, jak gdyby się pan chciał stąd dostać na górę i spadł podczas tych usiłowań. Szczęście, że pan nie złamał sobie ręki lub nogi.

— Natrę pana teraz balsamem i za tydzień będzie pan zdrów jak ryba, ale radzę, aby pan na przyszłość zaniechał takich karkołomnych ćwiczeń, bo to nie zawsze się udaje i mógłby pan życiem to przypłacić.

Hrabia milczał, a to utwierdzało Ilonę w tym, że przypuszczenie jej było słuszne.

— Niech się pan pocieszy, panie hrabio! — rzekła uprzejmie. — Miał pan jeszcze szczęście, że to się tak skończyło! Alojzy ma w swojej szafeczce bardzo skuteczną maść; wypróbuję ją na panu!

— Gdzie jest Alojzy? — zapytał hrabia, który wolał mieć do czynienia z kasztelanem niż z wstrętną sobie cyganką.

— Leży w szpitalu — odpowiedziała Ilona obojętnie, i tak jest nieludzko potłuczony i pobity, że potrwa to kilka tygodni zanim go lekarze wyleczą. — Tymczasem musi się pan mną zadowolić panie hrabio!

Wiadomość ta dla hrabiego była bardzo przykrą i Ilona spostrzegła to, lecz nie wzięła bardzo do serca.

— Będę go tak doglądała — mruknęła — że mu Alojzego zupełnie nie będzie brakowało. Dniem i nocą będę koło niego. Każde życzenie z oczu mu wyczytam i cudem byłoby, gdybym wstręt jego nie zmieniła w gorącą miłość ku sobie!

Tak postanowiwszy, przyniosła leczniczą maść i natarła nią rany hrabiego.

Werner cierpiał bardzo podczas namaszczania, i z trudem tylko powstrzymywał się od jęku. Ale po krótkim czasie polepszyło mu się tak, że uczuł wielką ulgę.

Następnie podała mu Ilona pokrzepiający napój, który wypił jednym tchem. Skutek był ten, że usnął za chwilę.

Ilona usiadła na jego łożu i patrząc niego marzyła na jawie o świetnej dla

siebie przyszłość. Czy się marzenia te spełnią?

ROZDZIAŁ CLIX

Egon znajduje chętne narzędzie

Na zamku Felseg schodziły dni teraz pomału i monotonnie.

Ilona okazała się wyborną samarytanką, bo rany hrabiego goiły się tak szybko, że po pięciu dniach chodził już po swej celi.

Podczas słabości jego starała się Ilona skrócić mu i uprzyjemnić czas, o ile to było w jej mocy.

Śpiewała dzikie, namiętne piosenki, że aż echo rozlegało się po podziemiu. Były to pieśni, odzwierciadlające wolne, nieskrępowane żadnymi przepisami życie cygańskie.

Czasami znów opowiadała mu podania indyjskie i fantastyczne bajki, którymi może Szeheresade skracał niegdyś czas swoich, krwi chciwych, sułtanów, lecz hrabia nie zwracał na to najmniejszej uwagi.

Nigdy jeszcze Ilona nie dbała tak swoją powierzchownością, jak obecnie. Przychodziła do celi więźnia w świątecznych strojach.

Policzki jej były świeże jak róże, usta jak korale, a oczy błyszczały jak brylanty.

Jedynym jej życzeniem było, uzyskać miłość ukochanego, lecz Werner był jakby ślepy na wdzięki i głuchy na jej wszystkie prośby. Posiadał talizman chroniący go od zdradliwych sieci pięknej czarodziejki.

Talizmanem tym była jego czysta, głęboka miłość ku Sylwii, która jedynie i niepodzielnie królowała w sercu jego.

Dzień za dniem upływał, a chytra cyganka nie przybliżyła się ani na krok do celu.

Po okolicy rozeszła się wieść, że kasztelan zamku Felseg leży chory w szpitalu w Petershagen.

Dowiedziawszy się o tym, zarządca z Königswalden wysłał do Felseg człowieka, który miał zastąpić Alojzego, aż do jego powrotu, ale chytra cyganka nie dała mu nawet wejść do zamku. Zapytała tylko przez okno: Czego tu chcesz?

— Mam zastąpić kasztelana — odpowiedział wysłany.

— Trzeba było wcześniej wstać, bo przychodzisz o dzień zapóźno — oświadczyła mu cyganka. — Teraz ja jestem zastępczynią Alojzego.

— Chyba sama sobie godność tę przywłaszczyłaś — odciął jej przybyły.

— Nie byłabym się na to odważyła, bez rozkazu pana barona — kłamała Ilona bezczelnie. — Alojzy zawiadomił pana barona pisemnie o swoim nieszczęściu i na to pan baron rozkazał, abym ją doglądała zamku do czasu, aż kasztelan nie wróci.

Powiedziawszy to, zamknęła okienko i zostawiła go na dworze.

Wysłaniec zarządcy pukał jeszcze przez chwilę, żądając wstępu, ale gdy się cyganka nie odzywała, zaklął brzydko i czemprędzej opuścił zamek Felseg.



Drugi dzień międzynarodowych zawodów motocyklowych w Anglii.

W kilka dni później przybył baron Sturmfeder do Königswalden.

Opisaliśmy już Szanownym Czytelnikom jego przybycie na zamek i opuściliśmy zuchwałego barona w tej chwili, gdy wybierał się do zamku Felseg.

Pojechał tam sam, bo nie chciał mieć świadków rozmowy z Iloną i całkiem gładko przebył tę niebezpieczną przeprawę. Tak zajęty był układaniem swoich planów, że droga nie wydawała mu się wcale długą i uciążliwą.

Cyganka zobaczyła jeźdźca, gdy jeszcze był w znacznym oddaleniu od zamku. Miała więc czas przygotować się na jego przyjęcie.

Zapaliła ogień w kominku w najlepiej umeblowanym pokoju, nakryła duży stół białym jak śnieg obrusem — i postawiła w kuchni na ogień garnuszek z wodą.

Następnie spojrzała w lustro, aby zobaczyć, czy jest porządnie ubrana i wyszła naprzeciw gościa z uśmiechem na ustach, a fałszem i podstępem w sercu.

Baron Sturmfeder zeskoczył z pięknego konia i rzucił cygance cugle; Ilona zaprowadziła zgrzane i zmęczone zwierzę do stajni i okryła je zaraz ciepłymi kocami.

Baron uśmiechnął się do niej lekko i poglaskawszy po policzku, rzekł:

— Czy wiesz, moja koteczko, że my się jeszcze musimy wykłócić?

— Nie wiem z jakiego powodu — odpowiedziała piękna dziewczyna, spokojnie znosząc przenikliwy wzrok barona.

— A więc zaraz ci powiem — rzekł baron — kto ci pozwolił objąć zastępstwo po kasztelanie zamku w Felseg?

— Ach, o to panu baronowi chodzi? — zawołała Ilona. — Przyznaję sama, że było to wielką śmiałością z mej strony, ale zrobiłam to tylko dla pana barona. Proszę wejść do pokoju „to wymienię panu baronowi powody, które mnie do tego postępku skłoniły.

— Masz słuszność, okropnie tu wieje, i w pokoju będzie przyjemniej rozmawiać — potwierdził baron, a następnie zapytał podejrzliwie:

— Kto ci tu dotrzymuje towarzystwa, moje dziecko? Musisz tu mieć co najmniej z pół tuzina swoich współbraci?

— Ani żywej duszy tu przy mnie nie ma — zapewniała go Ilona — mogę panu baronowi przysiąc na to.

— No to chodź — rzekł na to baron, obejmując ją wpół swymi ramionami i obrzucając palącym wzrokiem.

Weszli do wnętrza. Egon usiadł koło kuchni i grzał ręce.

— I w pierwszym pokoju mam ogień — rzekła cyganka — rozpaliłam zaraz, gdym zobaczyła pana barona jeszcze z daleka. Może pan baron zechciałby tam wejść?

— Nie, nie, wolę już tutaj zostać — odpowiedział baron. — A teraz mów prędko, co masz na swoje uniewinnienie?

— Panie baronie — odpowiedziała piękna Cyganka — należy mi się od pana barona duże wynagrodzenie. Gdybym nie miała odwagi osiąść tutaj, to źle byłoby z panem baronem.

— Mówisz zagadkami — rzekł baron posępnie — mów jaśniej.

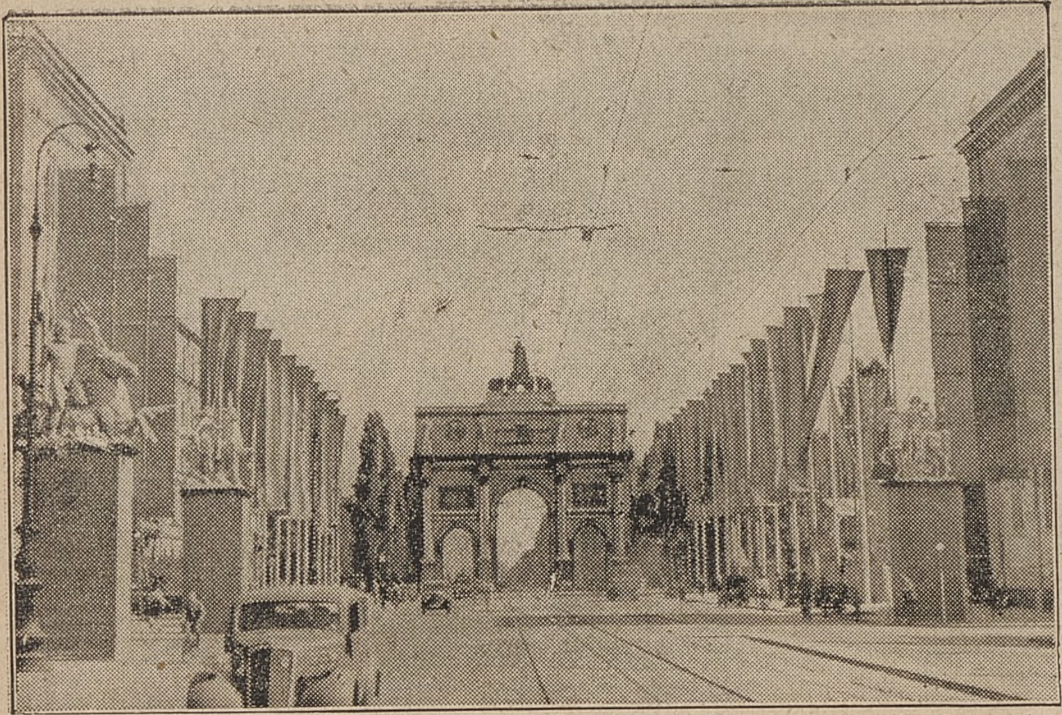
— Sądzę — rzekła spokojnie, kładąc nacisk na każde słowo — sądzę, że byłoby to fatalne dla pana barona, gdyby ktoś obcy był tu osiadł i przypadkowo odkrył zwłoki młodego pana hrabiego, Wernera Wildensteina.

Baron cofnął się z przerażenia i patrzył na Ilonę błędnie.

— Mówisz w gorączce — wybełkotał ochrypłym głosem.

— Nie, panie baronie — ciągnęła Cyganka spokojnie — ja nie mam gorączki. Pewnego wieczora przyszłam na zamek i zastałam główne drzwi zamknięte. Poszłam więc do okna kuchennego, aby przez otwór w okiennicy zaglądnąć do kuchni i przekonać się, czy Alojzy jest w domu. Tego co ujrzałam, nigdy nie zapomnę. Tam na stole — wskazała ogorzałą ręką na wspomniany sprzęt — na stole leżał trup hrabiego Wernera.

— Przysięgam na Boga, że się nie omyliłam — zapewniała uroczyście Cy-



Oto jak wspaniale udekorowano flagami miasto Monachium podczas „Dnia sztuki niemieckiej".

ganką — był to rzeczywiście hrabia. Poznałam go wyraźnie, choć był bardzo wychudzony i miał bardzo długie, zaniedbane włosy i brodę. Przestraszyłam się tak, że uciekłam czemprędzej. Proszę mi wierzyć, panie baronie. Alojzy zamordował hrabiego i zakopał go tam, wysoko...

— Coby go do tego mogło skłonić? — zapytał Egon.

— Kasztelan jest nader chciwy — rzekła Cyganka. — Może nieboszczyk pan hrabia miał przy sobie pieniądze, albo inne jakieś kosztowności, a Alojzy zamordował go w celu rabunku?...

Egon odetchnął lżej, bo widział wyraźnie, że Cyganka nie miała go w podejrzeniu.

— Czyś kasztelanowi dała kiedy do zrozumienia coś widziała owej okropnej nocy? — zapytał.

— Nie, jaśnie wielmożny panie — odparła Ilona z lekkim, szyderczym uśmiechem — zanadto mi miłe moje życie. Gdyby Alojzy wiedział, żem to widziała, zasztyletowałby mnie na miejscu.

— Masz rację — odparł Egon — milcz też i nie mów o tym nikomu.

A po niewielkiej pauzie ni stąd, ni zowąd zapytał:

— Słuchajno, moje dziecko, czy chciałabyś być bogatą?

Oczy Cyganki zabłysły pożądliwie. Tego jej właśnie brakowało, i gdyby się nadarzyła tylko sposobność uzyskania fortunki, złapałaby się jej obu rękami.

— O, tak, chciałabym bardzo, być bogatą — odrzekła.

— Musisz być bogatą — rzekł.

— W jaki sposób? — zapytała.

— Odwagą — brzmiała odpowiedź.

— Odwagi mam dość — rzekła pospiesznie — co mam zrobić?

— Czy znasz starego leśniczego Herberta? — zapytał Egon.

Cyganka potwierdziła, a wyraz nienawiści i mściwości oszpecił jej piękne rysy.

— Nienawidzisz tych ludzi? — ucieszył się baron Egon — będziesz mi więc wyborną wspólniczką.

— Co im mam uczynić? — spytała Ilona ochryple. — Proszę tylko powiedzieć, a będzie dla mnie rozkoszą pchnąć całą rodzinę w nieszczęście.

— Jeżeli mój plan się uda — syknął Egon — to cała rodzina pójdzie w nędzę. Słuchaj uważnie. Jutro ukończy Herbert wielki interes z pewnym handlarzem drzewa i schowa u siebie w domu bardzo wielką sumę pieniędzy. Gdyby się kto znalazł taki, coby pieniądze ukradł, a następnie zapalił dom równocześnie ze wszystkich czterech stron, to Herbertowie byliby na całe życie unieszczęśliwieni.

— Dlaczego? — zapytała zaintrygowana Cyganka — niktby przecież nie podejrzywał Herberta o podpalenie swego domu.

— Czy sądzisz? — rzekł baron szyderczo. — Najpierw padłyby na niego wyrzuty, że pieniędzy nie wyratował, a następnie powstałoby podejrzenie, że on sam skradł deponowaną u siebie sumę i podpalił dom w celu ukrycia kradzieży.

— Ale nie będzie dowodów na to — wtrąciła Cyganka.

— To nic, moja mała — rzekł baron, głaskając miękkie jej policzki — jak podejrzenie jest silne, to wystarcza, aby kogoś wtrącić do więzienia. Stary Herbert, przyzwyczajony przez całe życie do ruchu po polach i lasach, siedziałby w ciasnej celi więziennej, żona jego umarłaby ze zmartwienia i nędzy, córka godnej pary zostałaby nieodszukana tam, gdzie znikła. Wyobraź to sobie.

Szatańska radość odbiła się na pięknej twarzy Cyganki i wykrzywiła ją do niepoznania.

To było coś dla niej! Z prawdziwą radością, ba, z uniesieniem weszła w nikczemne plany swego kusiciela.

— Dom podpalić, to głupstwo — zapewniała — ale wykonanie kradzieży, to będzie trudniejsze. Nie wiem bowiem, gdzie leśniczy chowa pieniądze, może pod poduszką, na której sypia?

— To wszystko da się jakoś zrobić — zapewniał baron — najpierw, rozumie się, musisz wytruć psy.

— Nic łatwiejszego — oświadczyła chytra Cyganka — jutro nad wieczorem tak je nakarmię, że za kilka minut pozdychają.

— Ale jak się tam dostaniesz? — zapytał bestialski spiskowiec.

— Gdy się ściemni, wsunę się na leśniczówkę i schowam się na strychu — odparła Cyganka. — Gdy leśniczowie tylko usną, zejdę z mego schowku, zabiorę leśniczemu pieniądze, podpalę dom jego i umknę jak można najszybciej. Musi pan jednak powiedzieć, panie baronie, czy leśniczy Herbert ma schowane pieniądze w portfelu, czy w sakiewce.

— Dowiem się o tym — obiecał baron, następnie wstał i wyszedł.

— Przyjdź jutro do mnie, laleczko — rzekł baron na odchodnym — a powiem ci, czego się dowiedziałem. Zgoda?

— Nie wiem jeszcze, jaka mię za to czeka nagroda? — zapytała Ilona.

— Będziesz z niej zadowolona, laleczko — zapewniał ją Egon.

— Nie, panie baronie, nie pójdę na niepewne — zawołała Cyganka — musi mi pan baron przyrzec, że dostanę połowę zabranej sumy.

— Pomówimy później o tym — niedbale wycedził baron.

— Później? — zaśmiała się Cyganka — to znaczy nigdy. Trzeba kuć żelazo póki gorące. Jak wielką będzie ta suma?

— Dziesięć tysięcy złotych — skłamał baron, bo wiedział dobrze, że będzie trzy razy tyle.

— A więc dam panu baronowi pięć tysięcy, a resztę wezmę sobie.

— Bardzoś skromna — oburzył się Sturmfeder — chcesz dla siebie wziąć dwadzieścia pięć tysięcy złotych, a mnie dać wspaniałomyślnie marnych pięć tysięcy? Zapominasz całkiem, że ta cała suma prawnie jest tylko moją własnością.

— Pan baron gra ze mną fałszywą grę — syknęła Ilona. — Kto mi zaręczy, że pan mnie nie zdradzi, gdy mu już nie będę potrzebną?

— Głupia — perswadował jej baron — czyż nie jesteśmy wspólnikami? Czyż zdradzając ciebie, nie popadłbym sam w nieszczęście?

— Prawda — mruknęła Ilona — ale nie jeden już zbrodniarz pozbył się swego wspólnika w krwawy sposób.

— Czy masz mnie za mordercę? — oburzył się baron.

Cyganka wzruszyła ramionami i zapatrzyła się w jasny płomień. Wreszcie odrzuciła dumnie głowę i zapytała:

— więc na połowę, panie baronie?

— Przyjdźże do rozumu, dziewczyno — zawołał Egon podrażniony. — Chcesz niemożliwości. Jakże ci mam dać połowę sumy? Nie zapominaj, że pieniądze te są moją własnością.

— A skąd ja do tego przychodzę, aby je kraść? — zapytała Ilona, patrząc na niego wyzywająco. — Narażam swoją głowę. Czy myśli pan, że narażę się na takie niebezpieczeństwo, aby wzbogacić pana barona? Jak ukradnę te

pieniądze, to powinnam je właściwie tylko dla siebie schować. Czy sądzi pan, że cała suma byłaby zawielką dla mnie?...

— Z babami nigdy nie można się porozumieć — oburzył się Egon. — Rozum babski taki jest ciasny, że nie pojmuje najmniejszych głupstw. Gadasz tak, jakby tu chodziło o cudzą własność. Czy nie możesz pojąć, ty gąsko, że suma, którą handlarz zapłaci za drzewo, jest moją własnością?

— O, to nie jest pewne — szydziła Ilona.

— Głupia, sama przecież utrzymujesz, żeś widziała na własne oczy zwłoki hrabiego Wernera? — zawołał Egon. — A po śmierci Wernera ja jestem spadkobiercą posiadłości hrabiów Wildensteinów.

— Jak się bliższy spadkobierca nie znajdzie — wtrąciła chłodno Ilona.

— Nie bredź! — krzyknął baron gniewnie — nie ma bliższych spadkobierców! Hrabia Ernest Wildenstein umarł nieżonaty za granicą, a ja jestem jedyny, który ma uprawnione pretensje do spadku po kuzynie.

Cyganka umilkła, ale twarz jej tak spochmurniała, że baron uznał za stosowne udobruchać ją trochę.

— Moja piękna koteczko — zaczął czule — posprzeczaliśmy się trochę, ale przysiągłbym na to, że oboje tak źle o tym nie myśleliśmy. Zresztą, kto się lubi, ten się czubi. Po sprzeczce miłość się zdwaja. Pogodźmy się, mój skarbie, i daj mi na znak pojednania serdecznego całusa!

— Nie, panie baronie, tego nie uczynię — oświadczyła Ilona stanowczo. — Nie płacę czułościami za łajania i besztaninę, i nie należę do tych, co to nadstawiają prawy policzek, gdy ich ktoś uderzył w lewy. Moja zasada jest: Oko za oko! Ząb za ząb! Komu potrzebne są moje usługi, ten niech się wystrzega obrazić mnie!

— Dumna Hiszpanka! — zaśmiał się Egon — a jak ci do twarzy z tym gniewem. Szkoda, że jesteś tylko Cyganką, bo piękność twoja mogłaby tron ozdobić.

Doprawdy, że gdybym już nie był żonaty to byłbym w stanie dla twej miłości popełnić jakieś kolosalne głupstwo.

— Czy chce pan przez to powiedzieć, panie baronie, że ożeniłby się pan ze mną, gdyby już nie był żonaty? — spytała Cyganka zirytowana.

— Oczywiście! — potwierdził Egon stanowczo, aby ją sobie tym pochlebstwem zjednać dla swych planów na przyszłość.

Ilona była na tyle głupią, że wzięła jego słowa za dobrą monetę, uśmiechnęła się więc zadowolona.

Kiedy tak, to muszę być doprawdy piękną! — pomyślała. Baron podróżował wiele i zna się na piękności kobiecej. Z czasem i hrabia Werner zakocha się we mnie! Uznał on, że jestem tysiąc razy piękniejszą, niż jasnowłosa Sylwia i ukorzy się przede mną.

Właściwie nie ma sensu, że sprzeczam się z baronem o kilka marnych tysięcy. Gdy zostanę hrabiną Wildenstein, to będę tak bogatą, że dwadzieścia i trzydzieści tysięcy nie będą u mnie grały wielkiej roli i przez jeden dzień wydam dużo na lada bagatelę. Na wykonanie zaś moich planów wystarczy, że wydam kilka tysięcy.

Po zadowolonym wyrazie jej twarzy poznał baron, że pochlebstwa jego poskutkowały.

— — — — — —

— — — — — —

— No — przymilał się do niej — czy możesz być tak okrutną i odmówić mej prośbie? Daj się ucałować w usta, świeża różyczko polna!

Chciał ją objąć lecz wywinęła mu się, jak jaszczurka.

— Ubijmy wprzód interes! — rzekła z uśmiechem. — Najpierw interes, a potem przyjemność!

— Dobrze, dam ci więc sześć tysięcy złotych, zaraz po załatwieniu — obiecywał baron. Rozumie się, że musisz jeszcze być u mnie w Königswalden, aby się bliżej poinformować. Nie spóźnij się tylko, serce! Nie lubię czekać długo!

— Będę u pana o szóstej godzinie — obiecywała Cyganka. — Proszę tylko dać nakaz służbie, aby mnie zaraz wpuściła. Ja także nie lubię czekać!

— Mój słodki aniele — schlebiał jej Szturmfeder — nie zniósłbym tego, byś ty czekała długo w zimnym korytarzu. Będę cię oczekiwał z niecierpliwością, bo kocham cię szalenie!

— Bardzo to dla mnie pochlebne — rzekła, śmiejąc się Ilona.

— Okrutna, to szydzisz sobie ze mnie? — zapytał Egon.

— Pan baron żartuje tylko! — śmiała się Cyganka.

Zupełnie serio to myślę — zapewniał ją Szturmfeder. — Kocham cię tak, że chłód twój do rozpaczy mnie doprowadza!

To mówiąc, objął ją wpół, ale ona odepchnęła go silnie i wybiegła z zamku.

— Dowidzenia do jutra, o szóstej wieczorem — zawołała z oddalenia. — Mam nadzieję, że miłość pańska ochłodzi się trochę do tego czasu! Jedź pan do domu! Nie wrócę pierwej do zamku, aż pan go opuści.

To rzekłszy, znikła.

Baron czekał jeszcze czas jakiś na jej powrót, ale gdy się nie zjawiła, odjechał do domu, zły na jej nieprzystępność.



Po Europie podróżuje ostatnio prezydent Filipin wraz z rodziną. Na zdjęciu prezydent z żoną i dziećmi przed hotelem Esplanada w Berlinie.

ROZDZIAŁ CLX

Czy tak dotrzymujesz swej przysięgi?

Lekkomyślna Zuzia myślała pierwszej nocy po swej ucieczce, że się jej wrota do raju otwierają.

Zbudziła się z uśmiechem na ustach i wodziła promieniejącym wzrokiem wokoło.

Była u celu swych życzeń, była wreszcie wolną!

Przy ubieraniu się, śpiewała. Postanowiła kupić sobie zaraz kufer, bo nie wypadało, aby nosiła swoje rzeczy w zawiniątku jak służąca.

Zadzwoniła, by przyniesiono śniadanie i wchodzącą służącą zapytała, gdzieby mogła dostać ładny kufer.

Młoda dziewczyna poinformowała ją, i Zuzia zaraz po śniadaniu poszła w wskazanym jej kierunku. Szybko znalazła ten skład i zażądała elegancki kufer damski.

Rozumiejący po niemiecku młody subiekt przedłożył jej kilka do wyboru.

Zuzia wybrała najdroższy i zapytała niedbale o cenę.

Sto dwadzieścia złotych — odpowiedział subiekt.

Przez chwilę Zuzia zaniemówiła ze zdumienia, a później krzyknęła:

— Nie wiem, kto z nas zwariował pan, czy ja?

— Ja w każdym razie nie, łaskawa pani! — zapewniał subiekt drwiąco.

— Jakże może pan przy zdrowych zmysłach żądać taką cenę za towar, który we Wiedniu kosztowałby najwyżej 20 złotych? — oburzała się Zuzia.



W Paryżu — jak wiadomo — trwa od pewnego czasu strajk pracowników kawiarnianych i restauracyjnych. To też w niektórych restauracjach, otwartych mimo strajku, goście muszą się sami obsługiwać.

— To trzeba było zostać we Wiedniu, łaskawa pani, jeśli się pani tam tak podobało! — odparł obrażony młodzieniec.

— Nie pytałam się pana przecież o zdanie — wtrąciła Zuzia ostro — nie życzę sobie w ogóle rozmowy z panem, chcę tylko dowiedzieć się prawdziwej ceny tego kufra.

— Przecież powiedziałem już pani — odpowiedział sprzedający.

— Ależ to żarty! — zawołała z oburzeniem.

— Pani musi być dopiero od niedawna w naszym kraju, jeśli pani się dziwi tak skromniej cenie — rzekł subiekt. W Europie ludzie myślą, że tu pieniądze walają się po ulicach, i że trzeba się tylko schylić, aby je podnieść! Corocznie przybywa do nas tysiące biedaków z różnych stron świata z próżnymi kieszeniami i wielkimi pretensjami. Rząd powinien uważać, aby to już raz ustało!

— A cóż to mnie obchodzi? — spytała Zuzia trzęsąc się ze złości. — Jeśli pan myśli, żem także biedna, to się pan bardzo myli! Mogłabym cały kram pana zakupić, gdybym chciała!

W tej chwili miała 21 dolarów i z tej sumy musiała jeszcze zapłacić rachunek hotelowy.

Kłótnia zaczynała być już nieprzyjemną, gdy nagle ktoś nowy wszedł do sklepu. Z radością poznała w nim Zuzia hrabiego Bärensprunga.

— Na Boga, panie hrabio, skąd się pan tu wziął? — krzyknęła Zuzia uradowana — a to miła niespodzianka!

— Pani dobrodziejko! Jestem również zachwycony tym spotkaniem — rzekł hrabia, który szybkim spojrzeniem porozumiał się z subiektem. — Gdzie pani mieszka i czy można panią odwiedzić?

Zuzia wymieniła swój hotel i zarumieniła się przytem, bo pomyślała, że nie będzie dość elegancki dla tak wielkiego pana.

Miałabym do pana prośbę, panie hrabio — szepnęła mu wreszcie do ucha.

— Będzie mi przyjemnie móc się pani przysłużyć, odpowiedział hrabia uprzejmie.

— Nie chciałabym, żeby tu wiedzieli, że jestem zamężną — rzekła po chwili wahania — i zapisałam się jako panna Zuzanna Mayer.

— A mąż pani? — spytał Bärensprung.

— On nic o tym nie wie — odrzekła Zuzia trochę zawstydzona — bo podróżuję teraz na własną rękę.

— Mąż pani nie wie zatem, gdzie się pani obraca? — indagował hrabia dalej.

— Nie szepnęła młoda kobieta.

— Więc pani uciekła od niego? — zapytał hrabia cicho.

— Tak — odpowiedziała Zuzia — on mnie tak okropnie tyranizował i taki był dla mnie nieznośny, że nie mogłam z nim dłużej wytrzymać. Uciekłam też od niego i próbuję teraz szczęścia.

— Była to bardzo mądra myśl — chwalił ją hrabia. — Dziwiłem się już nieraz, że wytrzymała pani tak długo przy tym człowieku. Kobieta z pięknością pani, musiałaby być głupią, gdyby chciała przez całe życie pozostać przy takim niedźwiedziu, jak ten dobry Mayer. Nie umiał on nawet ocenić, co posiadał i jakie miał szczęście, że się pani zdecydowała za niego wyjść.

— No, nie na długo — uśmiechnęła się wesoło Zuzia.

Było to charakterystyczne dla lekkomyślnej i zepsutej kobiety, że słuchała z przyjemnością, jak ten obcy człowiek poniżał jej męża.

Podczas, gdy każda szlachetna kobieta stara się ukryć przed oczyma świata wady swego męża i uważa na to, aby go obcy ludzie tylko z dobrej strony poznali, Zuzia z całą przyjemnością przedstawiała męża swego jako tyrana i prostaka.

— Do widzenia, panie hrabio — rzekła wreszcie hrabiemu z kokieteryjnym uśmiechem i wyszła ze sklepu, szeleszcząc jedwabiami.

Gdy drzwi się za młodą kobietą zamknęły, zawołał subiekt:

— Czy to ty jesteś Albercie, czy nie ty?

— Naturalnie, że ja — odparł zapytany i dodał szeptem:

— Czyś może czytał?

— Żeś uciekł, obrabowawszy kasę na sto tysięcy złotych? — zapytał subiekt — opowiedziała mi to macocha z wielu złośliwymi uwagami. — Zaraz po otrzymaniu od niej listu, pomyślałem sobie, że musi mieć znowu jakąś złą nowinę, bo ona z zasady tylko wtedy mi pisuje, jak może mi coś nieprzyjemnego donieść. Jak to zrobiłeś, że cię nie przyłapano?

— O, długo to obmyślałem — odpowiedział nowo przybyły — obstalowałem sobie wyborne przebranie i udawałem na okręcie starego, zużytego człowieka, poza maską którego, niktby nie odgadł kasjera bankowego, Alberta Fuchsa. Dopiero tu, w Ameryce, gdy się poczułem całkiem pewny, zrzuciłem maskę.

— Prawdziwe szczęście, że cię nie przyłapali — mruknął subiekt, a następnie dodał posępnie:

— Ty masz już byt zapewniony.

— Dość dużo mnie to kosztowało strachu — rzekł ex-kasjer.

— O, wyobrażam to sobie — odpowiedział na to subiekt, a potem zapytał:

— Dlaczego ta dama nazywa cię hrabią?

— O, ładnie ją wyprowadziłem w pole — zaśmiał się zbiegły kasjer — przedstawiłem się jej, jako hrabia Bärensprung i zmyśliłem jej bardzo romantyczną historię.

— W którą ona na słowo uwierzyła — dokończył ze złośliwym uśmiechem. — Zdaje mi się zresztą, że chcesz tę znajomość utrzymać, ale jabym ci stanowczo nie radził, bo podobne znajomości nie jednego bogacza już zniszczyły.

— Ba, nie dam się zniszczyć — zapewniał go ex-kasjer. — Czy się nie dziwisz, że cię odszukałem w tym zapadłym kącie?

— Braterska miłość pewnie cię tu sprowadziła — zawołał młody kupiec z patosem. — Prócz tego myślałeś zapewne o tym, że będziesz tu bezpieczny przed prześladowaniem i zechcesz się tu ukryć.

— Nie, kochany Henryku. Tu nawet nie chciałbym umierać — zawołał z komicznym przerażeniem — wolałbym raczej zostać w Wiedniu posługaczem, albo hyclem. Odszukałem cię dlatego, że wydaje mi się niebezpiecznie podróżować z taką dużą sumą pieniędzy. Prawda, że weźmiesz mi przynajmniej połowę do przechowania. Chcę ci też pożyczyć kilka tysięcy, abyś sobie mógł jakiś interes własny otworzyć, bo jeden brat ma zawsze obowiązek pomagać drugiemu.

Subiekt odparł mu na to kilka chłodno grzecznych słów, a kasjer tak mówił dalej:

— Muszę być bardzo ostrożny, aby się i teraz jeszcze nie dać złapać i dlatego w obecności obcych ludzi musimy udawać, że nie ma między nami żadnego pokrewieństwa. Ja będę przemawiał do ciebie per „panie Fuchs“, a ty nazywać mnie będziesz „hrabią Bärensprungiem.

— Tak, musimy być ostrożni — potwierdził Henryk, a potem dodał:

— Czy masz te pieniądze przy sobie?

Przybyły skinął głową i wyjął z kieszeni surduta paczkę owiniętą w ceratę, którą zaraz wręczył swemu bratu.

— Jest tu 60.000 złotych — szepnął — byłoby najlepiej, gdybyś tę paczkę zaszył w swoje ubranie, w ten sposób ani ich nie zgubisz, ani nikt ci ich nie będzie mógł ukraść.

Henryk schował podaną paczkę tak prędko do kieszeni, jak gdyby się bał, aby brat nie rozmyślił się w ostatniej chwili. Zaledwie schował banknoty, ukazał się właściciel sklepu.

Bracia, którzy dotychczas posługiwali się językiem niemieckim, zaczęli natychmiast mówić po angielsku. Ex-kasjer kupił jakąś drobnostkę, zapłacił za nią i oddalił się z krótkim pozdrowieniem.

— Ten obcy taki podobny był do pana — zauważył właściciel sklepu, zwracając się do swego subiekta — możnaby go wziąć za pańskiego brata.

— Co pan mówi — zawołał młody Fuchs zdumiony — to bardzo dla mnie zaszczytne, bo ten obcy widocznie był niezmiernie bogaty. Chciałbym mieć takich krewnych, ale nasza rodzina jest uboga. — Naszą dewizą jest:

„Ubogo, ale uczciwie".

W duszy jednak pomyślał:

— Albert będzie musiał dziś jeszcze miejsce to opuścić. Za przyłapanie jego wyznaczona jest wielka suma. A gdyby go tak przyłapano? Musiałbym wtedy oddać pieniądze i nie mógłbym nigdy pomyśleć o samodzielności.

Postanowił więc natychmiast przestrzec swego brata.

Tymczasem odszukał rzekomy hrabia niemiecki zajazd, w którym mieszkała Zuzia.

— Wie pani, czegobym sobie życzył? — zapytał.

— Co by to mogło być? — zapytała Zuzia.

— Chciałbym mieć taką wesołą towarzyszkę podróży, jak pani! — rzekł domniemany hrabia. — Otoczyłbym panią wszelkim możliwym zbytkiem, spełniałbym wszystkie życzenia pani i strzegłbym pani jak oka w głowie.

— To brzmi bardzo pięknie — odparła Zuzia — ale jak to będzie z ożenkiem? Nie chciałabym się przecież poniżyć!

— Mój słodki aniołeczku! — schlebiał jej wielbiciel — naturalnie, że mam szczere zamiary ożenić się z panią, ale że pani nie ma jeszcze rozwodu z Mayerem, nie miałem przeto odwagi poruszyć tego tematu.

— Na to nie trzeba wielkiej odwagi! — zaśmiała się Zuzia — musi mi to pan jednak dać na piśmie. Te rzeczy trzeba mieć czarne na białym.

— Dam pani wszystko na piśmie, czego tylko zażądasz, mój drogi aniołeczku! — pochlebiał jej rzekomy hrabia.

Ale nim się stanowczo zwiążę — odpowiedziała lekkomyślna kobieta — muszę wypróbować pańską miłość. Jeśli mnie pan naprawdę kocha, to opuścimy dziś jeszcze to nędzne gniazdo, bo jest tu diabelnie nudno!

— W towarzystwie pani nigdzie nie będę się nudził — rzekł zakochany facet, obejmując ją czule i całując namiętnie.



W Szkocji przebywa obecnie z oficjalną wizytą angielska para królewska. Na zdjęciu powitanie pary królewskiej przez dostojników i przedstawicieli społeczeństwa szkockiego

— Brak mi kufra do rzeczy — skarżyła się Zuzia.

Tak drogiej rzeczy nie może sobie biedna osoba kupić, tylko musi sobie dać kupić w prezencie. Jeżeli jej się ktoś tak podoba, że ona od niego przyjmie, rozumie się dodała ze zwodniczym uśmiechem.

— Dobrze, za 10 minut będzie pani miała kufer — zapewniał ją rzekomy hrabia.

Złapał swój kapelusz, narzucił płaszcz i pobiegł na ulicę.

Zuzia patrzyła za nim zadowolona.

— To się nazywa miłość — mruknęła — Mayer byłby mi odmówił, a ten cydowny hrabia leci, aby spełnić mą prośbę. Jak tylko dostanę rozwód, wyjdę za niego, a baronowi Egonowi von Szturmfeder poślę uwiadomienie o ślubie.

Będzie się ogromnie martwił, że o nim zapomniałam, ale nie chcę mu oszczędzić tego zmartwienia. Pani hrabina, to przecież inaczej brzmi, niż tak po prostu pani Mayer.

Nagle skrzywiła się jej twarz boleśnie i chwytając się rękami za żołądek krzyknęła:

— Znów ten przeklęty kurcz żołądkowy! Zepsułam sobie żołądek tym gorącym chlebem i tłustym mięsem wieprzowym. Dawniej byłam zdrowa jak ryba, a teraz ciągle jestem cierpiąca.

Nalała sobie kieliszek koniaku i wychyliła go duszkiem, lecz bóle nie ustawały.

Tymczasem ex-kasjer pobiegł do sklepu, w którym jego brat miał posadę.

Kazał pokazać sobie kufer, który ta dama wpierw oglądała. Młody subiekt przedłożył mu ten kufer i wymienił cenę. Kasjer kupił go, nie targując się.

Gdy wręczał subiektowi zapłatę, szepnął mu tenże:

— Wyjeżdżaj natychmiast.

Nie mógł więcej powiedzieć, bo sam właściciel był w sklepie.

Brat jego usłuchał rady. Wziął sam kufer, pośpieszył z nim do hotelu i oświadczył Zuzi, że mogą zaraz wyjeżdżać.

Zuzia postanowiła nie zdradzać się swemu wielbicielowi ze swą słabością, bo wiedziała, że mężczyźni tego nie lubią i że chorą kobietę uważają za ciężar.

Bała się, że gdy się dowie, to nie ożeni się z nią.

Zacisnęła więc zęby i okazywała wielką radość z powodu darowanego kufra. Szybko spakowała swoje rzeczy i w pół godziny później wyjechała w świat, jako jawna kochanka domniemanego hrabiego.

Żaden głos wewnętrzny nie ostrzegł jego, że jedzie na swą zgubę!

ROZDZIAŁ CLXI

Miłość wychodzi z najcięższych prób zwycięsko i nigdy nie ustaje

Ulice Wiednia pokryte były grubą warstwą śniegu. Zima była ostra, a karnawał rozpoczął się już na dobre. Był to czas balów i wszelkiego rodzaju uciech. Corsa w saniach, ślizgawka, maskarady, teatry i koncerty zajmowały świat, w którym się nieustannie bawią. Zdawałoby się, że na świecie, istnieją same tylko zabawy, a łez i bólu nie ma wcale.

Bo prawdziwa troska ukrywa się przed oczyma świata i w cichym zakątku wypłakuje swój ból. I teraz, wśród ogólnego wesołego nastroju znalazły się serca przygniecione zmartwieniem.

Pójdź za mną, drogi czytelniku, w dom przy ulicy Franciszkańskiej pod numerem 9-tym, gdzieśmy już podsłuchali niejedną scenę domowego szczęścia, ale też i niejeden objaw głębokiego bólu. Znajdujemy ją znów w mieszkaniu ś. p. jej ojca, ale zupełnie samą, zupełnie opuszczoną.



Na zdjęciu niebezpieczny szczyt Eigera (w Alpach), który zdobyty został w ostatnich dniach przez kilka wypraw alpinistycznych.

Na grobie Gelliniego, ozdobionym kwiatami, leżał gruby śnieg. Ułożono mistrza do wiecznego spoczynku tuż obok grobu, w którym spoczywała jedyna, droga mu za życia kobieta. Śmierć oddała mu to, czego mu życie odmówiło; był złączony z Irmgardą na wieki!

Hortensji od czasu pogrzebu jej ojca schodziły dni w głuchym bólu, graniczącym z odrętwieniem.

Otwarcie testamentu nie uczyniło na niej najmniejszego wrażenia, mimo, że Gellini zrobił ją główną i jedyną spadkobierczynią swego znacznego majątku. Mistrz złożył przez pilność i energię duży kapitał, gdyż brał wysokie honoraria a żył skromnie, chociaż lubił się otaczać pewnym zbytkiem w urządzeniu swego domostwa.

Miała więc Hortensja zabezpieczoną przyszłość, ale opuszczenie i samotność dawały jej się dotkliwie we znaki.

Z woli ojca, objął asesor Feldern opiekę nad nią. W testamencie swym wskazał mistrz Hortensji asesora, jako przyjaciela i doradcę, a córkę swą polecał serdecznie Feldernowi, zostawiając jego opiece tę ledwie siedemnastoletnią kobietę.

Asesor objął swój urząd opiekuna z przyszłość, ale opuszczenie i samotysfakcji. Cieszył się tym, że będzie z Hortensją w styczności i że godność jego da mu częstą sposobność widywania jej.

Snuł plany i nadzieje na przyszłość. Zdawało mu się, że Gellini znał jego miłość dla Hortensji i że ją faworyzował. Był jednak o tyle taktowny, że nie narzucał jej się swą obecnością i pozwolił w samotności pierwszy ból wypłakać.

Hortensja siedziała właśnie w swym jasnym buduarze, odbijającym jaskrawo od żałobnej jej sukni, gdy wszedł wierny i stroskany Luigi, który od śmierci swego ukochanego pana poświęcił się jedynie córce nieboszczyka i dla niej tylko żył.

— Signora — rzekł po włosku — przyszła tu jakaś dama i chce koniecznie mówić z signorą.

— Czyś jej nie powiedział, że nie przyjmuję teraz żadnych wizyt? — spytała Hortensja w tym samym języku.

Nie przyjmowała w rzeczy samej nikogo prócz Felderna. Zaraz po tym nieszczęśliwym wypadku odwiedziła ją hrabina Nostiz, wiedziona wyrzutami sumienia, ale młoda kobieta nie mogła się zdobyć na to, aby przyjąć i widzieć się z dawną swą protektorką, która chociaż niewinnie, ale przyczyniła się do śmierci jej ojca.

Nie przyjmowała też wizyt kondolencyjnych innych swych znajomych i wszyscy o tym wiedzieli; dlaczego więc ta nieznajoma dama chciała się tak koniecznie z nią rozmówić?

— Signoro — upierał się Luigi — ta pani mówiła mi, że musi pomówić z signorą w interesie miłości bliźniego i we własnym interesie signory!

— Czy nie powiedziała ci swego nazwiska — zapytała Hortensja niezdecydowana.

— Nie, signoro — odpowiedział Luigi — ale mówiła, że signora wiecznie żałowałaby, gdyby z nią teraz nie pomówiła.

Jakieś słabe przeczucie błysnęło jej, że obca kobieta przynosi jej wieści od męża. Myśl, że dręcząca niepewność skończy się wreszcie, sprawiła gwałtowne bicie serca. Twarz jej oblała się rumieńcem, gdy dawała służącemu rozkaz wprowadzenia obcej damy. Z niepokojem oczekiwała jej wejścia.

Do pokoju wsunęła się czarno ubrana postać kobieca, której ruchy zdradzały damę wielkiego świata. Spojrzała ona na Hortensję ze zdumieniem, uderzona widocznie dziecinnym wyrazem jej twarzy i zapytała:

— Czy doprawdy widzę przed sobą panią Waldau?

— Nazywam się Hortensja Waldau — odparła młoda kobieta, rumieniąc się lekko — z kim mam przyjemność i czemu mam zawdzięczać zaszczyt odwiedzin pani?

Nieznajoma odchyliła welon i pokazała piękną swą, choć cierpieniem napiętnowaną twarz.

Zrozumiawszy niemą prośbę Hortensji, siadła na krzesło i ścisnąwszy kurczowo ręce, jak gdyby dla uspokojenia się, przemówiła drżącym głosem:

— Proszę nie pytać się o moje nazwisko, a wyrządzi mi pani tym wielkie dobrodziejstwo! O, gdyby mi pani chciała uwierzyć, że tylko najlepsze, najczystsze intencje sprowadzają mnie tu, byłoby mi łatwiej przystąpić do rzeczy, bo muszę zacząć ciężkim oskarżeniem samej siebie!

W ciemnych oczach nieznajomej tyle było prawdy i szczerości, a około ust tyle ukrytej boleści, że Hortensja wzruszona podała jej rękę i rzekła serdecznie:

— Wierzę pani! Przeczuwam nawet, z kim mam przyjemność i zapewniam panią, że nie mam do niej żalu. Proszę tylko dalej mówić, i nie wystawiać mnie na próbę cierpliwości!

— Pani jesteś aniołem! — zawołała z uniesieniem — a ja nikczemna zabrałam ci szczęście! Bóg mi jednak świadkiem, że czyniłam to bezwiednie, bo nie miałam pojęcia o egzystencji pani. Przyszłam dziś, aby odpokutować część swej winy i wskazać pani drogę i środki do odzyskania swego szczęścia!

— Na miłość Boską, mów pani wyraźniej — przerwała jej ze wzruszeniem. Czy są jakie wiadomości od Leona? Czy on...

Czy on żyje? — chciała zapytać, ale słowo zamarło jej na ustach i tylko strwożony wyraz jej oczu dopowiedział pytanie.

— Żyje! — potwierdziła baronowa.

Z okrzykiem radości rzuciła się Hortensja na kolana, aby podziękować Wszechmocnemu za tę wielką łaskę, a baronowa patrzyła na nią wzruszona do łez, zawstydzona i skruszona.

Dla kaprysu i chwilowej zabawy sprawiła temu anielskiemu stworzeniu takie zmartwienie! Nie dużo brakowało, a byłaby padła do nóg Hortensji! Żadne upokorzenie nie wydawało jej się dość głębokie przed tą niebiańską dobrocią i niewinnością.

Hortensja wreszcie podniosła się zarumieniona i ze łzami w oczach.

— Zapomniałam zupełnie o obecności pani — rzekła zaambarasowana. — Niech mi pani wybaczy i powie, co pani jeszcze wie o Leonie. A proszę mi nic nie ukrywać i niech to pani Bóg nagrodzi.

— Wiem sama bardzo mało — odparła baronowa. — Spotkałam się z mężem pani w Tryeście całkiem przypadkowo i przypuszczam, że jest tam jeszcze i mówił mi o jakimś zajęciu, które tam znalazł. Wyglądał nieszczęśliwy, zbiedzony i cierpiący i poznać było jak bardzo był zgnębiony. Z dumą odrzucił moją pomoc i nie chciał mi się z niczym zwierzyć, ale ja czytałam w duszy jego i wiem, jak na nim ciąży wina, którą wobec pani popełnił i jak za panią

(Ciąg dalszy na stronie 617)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

PRZYJMUJĘ PANIĄ

„Rusałka". Przyjmuję Panią, „Rusałko", do naszej „Rodzinki" i pozwalam Jej osobiście przedstawić się naszym „Krainiakom":

„Rusałka" zasyła wszystkim „Krainiakom" moc pozdrowień i gorące uściski dłoni. Bardzo pragnęłabym rozerwać się na łonie „Rodzinki".

Mam lat siedemnaście. Jestem smukłą, średniego wzrostu ciemno - blondynką, mam niebieskie oczy. Nie lubię się chwalić, ale ludzie mówią, że jestem ładną. Bardzo proszę o listy. Szczególnie prosiłabym o list „Rudiego 220—380". Tak bardzo lubię wesołe żołnierskie przygody!

WIERSZE DAŁAM DO TECZKI WUJKA JANUSZA

„Helena J." Cieszy mnie bardzo, że tyle radości sprawiłam Pani ostatnim moim listem w „Krainie". Cieszy mnie jeszcze więcej stwierdzenie przez Panią, Droga Dziewczynko, że zrozumiałam Cię dobrze i odpowiedzią zdobyłam Twoje całkowite zadowolenie. Lubię, gdy moje rodzeństwo z „Krainki" jest zadowolone ze swej starszej siostry, co to jest trochę ich powierniczką, trochę przyjaciółką, trochę towarzyszką zabaw i radości, a trochę matką, która wszystko rozumie i wszystko tłumaczy na korzyść dzieci.

Dlatego też zaskoczona jestem tym, że nie rozumiem Pani, Droga Dziecino, — o jakim to mówisz „złym, podstępnym człowieku, który wkrada się do serc wiejskich i wszczepia w ich pobożną duszę zło, co rozrasta się jak chwast w polu". O jakim? I czy nie przesadzasz trochę, Dziecko Drogie?

Myślę, że najtrudniej właśnie jest wszczepić zło bezbożnictwa w duszę ludu wiejskiego, który wszak najsilniej i najgruntowniej przywiązany jest do swej wiary. Więc myślę, że trochę wyolbrzymiasz to zagadnienie.

Jeżeli zaś chodzi o to drugie, mianowicie silną miłość do ojczyzny oraz pracę społeczną — to bardzo Ci chwalę taki entuzjazm i radzę, pracuj, pracuj — byle konsekwentnie i pozytywnie!

Kocham w młodzieży zapał do pracy dla kraju i chęć do poświęceń.

Jeżeli coś konkretnego zdziałasz w tym kierunku, to proszę Cię bardzo napisz o tym. Napiszesz?

Wiersze Twoje dałam Wujkowi Januszowi do oceny — zdaje mi się, że dużo jeszcze będziesz musiała nad sobą pracować, gdyż rytm pozostawia dużo do życzenia — no, ale to rzecz Wujka Janusza, on Ci odpowie, tylko nie zaraz, bo ma ogromny zapas materiału do poprawienia. Zatem odczekasz swej kolejki, Mała Helutko! Teraz pozdrawiam Cię serdecznie i załączam Twoje pozdrowienia dla całej „Krainy".

POSTE - RESTANTE — ŻNIN

„Don Juan". Słuszne są Pana uwagi na temat poruszony w liście, zaś co do nagłego zwrotu, podejścia, że tak powiem, frontem do kobiet z prowincji, nie wiem doprawdy, czy dobrze Pan czyni. Nie wiem dlatego, że o ile wnioskuję z Pana listu, uważam ten zwrot za chwilowy kaprys, chęć odmiany, co jest za mało na to, abyś rzeczywiście miał szukać pięknej duszy, miast: pięknej przygody! Mam wrażenie, że jest Pan jeszcze bardzo młody i jako taki nie mogłeś się jeszcze tak obojętnie ustosunkować do błyskotliwości życia wielkomiejskiego, które Cię pociąga i intryguje więcej niż sam przypuszczasz.

Skąd mogę twierdzić to, co twierdzę i jak przyszłam do tego?...

Ano z Pana listu! Mam nieco doświadczenia w tym kierunku, jako że przychodzi do mnie masa listów o najrozmaitszym poziomie i treści. Poza tym, trochę mówi za Pana, obrany pseudomin.

Ale to właściwie niemnym nie jest, więc też chętnie prezentuję Pana „Rodzince".

Słusznie Pan scharakteryzował niektóre nasze pseudonimy — przyznaję.

Na zakończenie dziękuję za wszystkie słowa uznania i pozdrawiam Pana oraz załączam jego komunikat:

„Zasyłam mile pozdrowienia dla „Małej Konwalijki", która musi być rzeczywiście miłym stworzeniem, dalej, dla „Samotnej Heluni". Zdaje się, że spędza ona wakacje w Żninie — tak jak ja, tylko że ja nie jestem w samym mieście a na wsi.

Zasyłam również miłe słowa dla „Wieszczki Kwiatów". oraz dla „Barci". Ta ostatnia, jeżeli pisze zawsze prawdę, jest doprawdy małym słoneczkiem na tle ogólnego pesymizmu. Proszę Panie o napisanie do mnie!

Serdeczności dla całej Rodzinki!

Adres mój: Żnin, poste - restante, nr. 23-11.

IDĘ DO WAS...

„Samiuteńka". Jest to Pani, która przez kilka lat pracowała w charakterze nauczycielki domowej, a ostatnio usamodzielniła się w miłym miasteczku, gdzie życie płynie jej w spokoju i dostatku. Zdawaćby się mogło, że to powinno wystarczyć do szczęścia, a jednak... człowiek ma takie chwile, że chciałby się wypowiedzieć przed kimś miłym i przyjaznym, choćby tylko listownie.

Dlatego zwróciła się do mnie z prośbą o zaprezentowanie jej członkom „Rodzinki" i wprowadzenie w jej koło.

Czynię to z radością, gdyż z listu wywnioskowałam, że jest osobą inteligentną i miłą. A oto sami posłuchajcie w jak serdeczny sposób zwraca się do Was:

„Idę do Was, Drodzy Sympatycy „Krainki", z gorącą wiarą w sercu, że przyjmiecie mnie do swego grona i poczytacie za swoją.

Nie zróbcie mi zawodu, gdyż bolałoby mnie to ogromnie.

Tyle już miałam przykrości, tyle zawodów w życiu, że nie mogę spokojnie myśleć o nowych — a myślę, że może teraz spełnią się moje marzenia?...

Ślę Wam moc pozdrowień i proszę o listy".

Pozdrawiam Panią serdecznie i życzę gorąco, abyś przestała się wreszcie czuć „samiuteńką", gdy poczujesz się nieodłącznym członkiem naszego zgranego bractwa.

UCIESZYŁBYM SIĘ...

„Zrównoważony Jaś". Tak starannie i czytelnie napisał Pan swój pierwszy list do mnie, że z przyjemnością niecodzienną będę oczekiwała dalszych. No i przyjmuję Pana chętnie do „Rodzinki", „Zrównoważony Jasiu".

Proszę posłuchajcie, „Krainiacy", co mówi o sobie ten miły pan „Jaś":

„Jestem blondynem, cośkolwiek muzykalnym. Liczę trzydzieści jeden lat i jestem urzędnikiem państwowym.

Chętnie nawiązałbym korespondencję z miłymi, sympatycznymi czytelniczkami „Moich Powieści", a zwłaszcza „Krainki".

Ponieważ wakacje zamierzam spędzić w górach, więc ucieszyłbym się ogromnie, gdyby która z czytelniczek, mieszkająca w górach, dała o sobie znak życia".

Na ostatnie życzenie wyrażone w liście Pana nie odpowiadam, gdyż zawsze daję pseudonim pod fotografiami Pań i Panów, umieszczonymi w „Krainie".

Zasyłam Panu uścisk dłoni i życzę miłej obszernej korespondencji. Wiem, że będzie Pan zadowolony, iż przyłączyłeś się do naszego ogromnie zgranego grona.

PROSZĘ MNIE PRZYJĄĆ

„Renia z Kolna" prosi, aby ją przyjąć do grona „Rodzinki", gdyż mieszka w takiej miejscowości, w której jest bardzo dużo Żydów i z tego powodu nie ma się z kim zaprzyjaźnić.

A bardzo pragnie poznać kogoś miłego i dobrego, umiejącego rozumnie i niezgryźliwie patrzeć na życie i różne wady ludzkie.

Może któraś lub który z kochanych „Krainiaków" napisze do tej miłej Dziewczynki?!

Jeżeli zechce napisać „Renia z Kolna", do któregoś członka „Krainki" — uczyń to w ten sposób:

Napisz list, włóż do koperty i na niej napisz pseudonim tego kogoś, do którego piszesz. Następnie włóż go wraz z dwudziestopięciogroszowym znaczkiem poczt. do drugiej koperty, zaadresowanej do redakcji „Moich Powieści" pod dział „Kraina Szczerości i naszych trosk". Resztę już ja załatwię, bo mam właściwe adresy tych, którzy w „Krainie" występują pod pseudonimami, jak np. Twój.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i pozdrawiam Cię serdecznie.

ŻEBY TAK SKRZYDŁA MIEĆ!...

Żeby tak skrzydła mieć
I tak polecieć w dal
Ponad zielenią hal
W podniebnych chmurek sieć.
Wyżej, wyżej jak te góry,
Hen, daleko pod lazury.

Ponad sine nasze morze
W ten szeroki świat,
Gdzie od tylu lat
Wstają jasne zorze
Tam, gdzie powstawają i wieczorem giną
Popłynęłabym ja podniebną krainą.

I dotarłabym tak do tajemnic wrót
Przez gwiazd przestwór daleki,
Gdzie przez przeszłe wieki
Był wzbroniony wchód —
Zetrzeć wieków śniedź!
...Ach, żeby tak skrzydła mieć!...

Halina Turkówna.

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Uśmiechnięta Wandulka". Przykro mi, że zmienia Pani pseudonim, ale skoro przyczyny uważasz za dość ważne po temu, przeto będziemy się odtąd zwracali do Ciebie jako do „Uśmiechniętej Wandulki".

Oczywiście, że będzie Pani musiała rozpinać nową sieć korespondencji, gdyż nikt prócz mnie nie wie, kto kryje się pod zmienionym pseudonimem. Ale o to, zdaje się, chodzi Ci, Droga „Wandulko" także, więc bądź zadowoloną.

Z podanych przez Ciebie pseudonimów wybrałam powyższy, gdyż np. „Niezapominajek" mamy już kilka, tak samo i tych innych pseudonimów.

Smuci mnie bardzo wiadomość, że nie natrafiłaś na człowieka, któryby dowiódł Ci naprawdę przekonywująco, że my, Polacy, przestaliśmy już różniczkować mieszkańców dawnych dzielnic.

Cóż z tąd, że ów lub owa jest z tej czy innej dzielnicy, gdy nie ma ani zalet większych, ani wybitnych zdolności, ni zasług.

Ten jest ważny i godny, co własną pracą i zaletami umie dowieść pożyteczności swego istnienia i... zjadania ojczystego chleba. Nie zaś ten, który umie tylko piękne i gładkie sypać słówka, nic konkretnego z siebie nie dając, ani dla kraju, ani dla społeczeństwa.

I możesz mi wierzyć, że nie tylko służbą w wojsku dowodzi się szlachetności uczuć względem własnej lub przybranej ojczyzny. Można dziesięć dziedzin pracy dla kraju obrać i w każdej z tych dziesięciu z osobna wykazać wartość, zarówno swej pracy, jak siebie, jako obywatela.

A gdy się już to wykaże, zbędne są wszelkie zapewnienia jakichś tam półgłówków, że się jest Polką, choć z zagranicy i że czuje się po polsku, tudzież że daje się coś z siebie dla kraju.

Oczywiście, że skoro człowiek czuje się naprawdę obywatelem, więcej, bo synem dane-

go kraju — musi przede wszystkim starać się doskonale opanować jego język i to, o ile możności, literacki. Wtedy nie będzie „wielkich panów" i nie będzie złośliwości na temat pochodzenia z takiej a takiej dzielnicy.

Powiem Pani szczerze, że ludzi niedoważonych jest jeszcze dużo i zawsze będzie dużo — jest to równie nieuchronne, jak słońce i deszcz — dlatego nie należy przejmować się zbytnio i wyperswadować to odpowiednio, komu należy.

Pozdrawiam serdecznie i w Pani imieniu ślę miłe uśmiechy dla „Li z nad Olzy", która może zechce skreślić do Pani kilka słów, gdyż ją bardzo prosisz.

Ponadto przesyłam pozdrowienia i proszę o list dla Pani od „Małej Konwalijki", „Duśki", „Blondynki z nad Olzy" i panów: „Masia" i „Tlewi'a".

NIESTETY!...

„Czarny Pirat". Za słowa uznania i pozdrowienia bardzo Panu dziękuję.

Podzielam Pana zdanie, że jako żeglarz nie może Pan być głuchy na krzyk „Mewy" — jednakże ona widocznie nie przewidziała tej ewentualności, gdyż nie podała bliższego adresu. Przykre to dla mnie, lecz list zalega — niestety!

Może „Mewka z nad Warty" doczyta się o sobie w tym liście i poda swój adres, a wówczas odrazu prześlę jej list pisany przez Pana.

Załączam jeszcze pozdrowienia Pana, „Czarny Piracie", dla wszystkich Czytelniczek i Czytelników „Moich Powieści" i „Krainy" oraz ślę szczere i serdeczne pozdrowienia nad brzeg Bałtyku — niech tam odnajdą Pana i sprawią mu trochę radości!

SAD

Błyszczą kropelki rosy
na zielonej trawie;
Lśnią w odległym stawie
czyste niebiosy.

A w górze słońce płonie
I blaski swe rzuca wszędy,
Na zioła, na kwiaty, na grzędy
I na jabłonie.

Łysina kapusty błyszczy
Od kroplistego potu,
Śmieje się bób koło płotu
Do haszczy.

Rój pszczół z nad kwiatów ulata
Nektar z nich sącząc słodki:
Tak wonne są lipy, róże i stokrotki
Tego lata.

Halina Turkówna.

UKAZAŁA SIĘ JUŻ...

„Eros". Serdecznie dziękuję Panu za pozdrowienia i miłe słowa, tudzież życzenia.

Z przyjemnością rewanżuję się miłą wiadomością mianowicie, stwierdzam, że list Pana wpłynął nieledwie bezpośrednio na umieszczenie jednej z prac Twoich. Ukazała się już w poprzednim numerze — czy zauważyłeś? Przypuszczam, że jesteś zadowolony.

Tylko, mam jedną prośbę, chodzi mi mianowicie o to, aby Pan zadania opracowywał starannie, przejrzyście, aby pismo i określenia były wyraźne, gdyż mam trudności z odcyfrowaniem takowych, co często przyczynia się do nieumieszczania ich w „Chwili zastanowienia".

Projekt Pana wzięliśmy pod uwagę i prawdopodobnie zrealizujemy go w przyszłości.

Ponadto podaję Panu, że ostatnio przysłane rozwiązanie zadań było dobre i umieściliśmy Pana w pierwszym szeregu ubiegających się o nagrodę. Niestety, los nie padł na Pana nazwisko. Może następne losowanie okaże się szczęśliwsze dla Pana.

Twierdzisz, Miły „Erosie", że „Kraina" odmłodniała i że przybywa wielocznie coraz więcej zadowolonych i uśmiechniętych członków i członków, a ubywa zatroskanych i smutnych. Owszem, mogę powiedzieć, że trochę radosno - młodzieńczego prądu powiało w „Krainie", a skłonna jestem przypisać to raczej cudownemu wpływowi lata.

Wszak trudno człowiekowi być ponurym i zbyt podatnym na wpływy różnych trosk i smutków, gdy słońce sieje promienie upalne, powietrze aż drży od gorąca i woni przeróżnych, gdy las ze zdwojoną siłą szumi i woda, skrząc falując kusi — woła do siebie!

Przecież w te letnie dni i miesiące wszystko ożywa i rozpromienia się jakąś bliżej nię umotywowaną radością, a człowiek by nie miał? Tylko on?... I dlaczego!

Właśnie, że i człowieka porywa ta bajeczna beztroska przyrody i ta cudowna radość życia.

I dlatego, uważam, w „Krainie" trochę pojaśniało ostatnio.

Może Pan być pewny, że cieszy mnie to niemniej od Pana.

A teraz zasyłam Panu uścisk dłoni i drukuję jego dopisek:

„Psychoanalizę" pozdrawiam serdecznie. Dlaczego zamilkłaś? Odezwij się, proszę.

„Kropelko", gdzie jesteś i co porabiasz? Pisz! Ślę Ci radosny uśmiech.

„Pil. K. M." — dokąd wyjechałeś, gdzie spędzasz wakacje? Czy może już pracujesz? Pozdrawiam Cię.

Pozdrowienia ślę także „Tamarze", „Kunie Leśnej", „Starej Pannie", „Nie - Biednej", tudzież wszystkim sympatyczkom i sympatykom z Bydgoszczy.

Zaś reszcie radośnie „pa" i uśmiech.

CZEKAM NIECIERPLIWIE!...

„Waldy". Dziękuję Panu serdecznie za list, treść jego aż tętni od energii i zapału do pracy. Pracował Pan widać rzetelnie i przejął się do tego stopnia swą pracą, że to się aż uzewnętrznia w liście.

Cieszy mnie ogromnie, że nie narzeka Pan na przeciążenie zajęciami, lecz z uśmiechem stwierdzasz, iż nawet przeszedł, a Ty świetnie wypoczniesz podczas wakacyj.

Widać w tym, że dzielnie kroczy Pan przez życie i nie ugną go lada błahe przeszkody. Lubię Pana za to i z niecierpliwością czekam na przyobiecany „sążnisty" list. Będzie na pewno niemniej miły i radosny.

Na zakończenie posyłam Panu serdeczne życzenia wesołego i przyjemnego spędzenia wakacyj oraz zamieszczam dopisek:

„Bajko" — czy pamiętasz jeszcze „Waldego"?

Pozdrawiam Cię „Iruś" — odezwij się kiedy do mnie, dobrze?

„Halszko" — czy wyjeżdżasz podczas wakacyj do L.? Czy Włodek wyjechał za granicę? Napiszcie na stary adres. Ściskam Wam dłonie!

GRONO NASZE POWIĘKSZA SIĘ BARDZO

„Islar" i „Hestia". Oto dwie nowe zwolenniczki „Krainki", które w słowach serdecznych i ciepłych poprosiły mnie o przyjęcie do „Rodzinki".

Posłuchajcie, proszę, co one mówią o sobie i w jak swobodny, beztroski sposób zawierają z Wami znajomość:

„Islar" — to ja, młoda pełna życia kresowianka, mająca pogodę w duszy i uśmiech na ustach.

Śmieję się do ludzi, do życia i... wzajemnie szukam uśmiechów.

Los okazał się dla mnie dość hojny. Troski Ti żale nie są mi znane, lecz nie mogę znaleźć uśmiechów, coby przeznaczone były tylko dla mnie.

Nie zunaję czczych frazesów i zręcznie przybranej na twarz maski. Chcę szczerości — szukam szczerości, bo tego właśnie nie widzę wokół siebie.

Czy który z Sympatyków „Krainy" może mnie przekonać o istnieniu tego uczucia?

Listy proszę kierować na poste - restante (dla „Islar").

„Hestia" — to dziewczynka pełna humoru i werwy, która na świat spogląda oczyma koloru morza — czasem figlarnie, a czasem tak, jakoby pragnęła zapytać: Czy znajdę kiedyś swoje maleńkie szczęście? — I wtedy właśnie dziwnie się czuje sama i tak jej smutno!...

Chciałaby więc znaleźć bratnią duszę, przed którą mogłaby się szczerze wypowiedzieć. Osoby takiej nie spotkała dotąd, lecz myśli, że może znajdzie ją w „Krainie"! Czy może się spodziewać, że znajdzie między Wami, Drodzy „Krainiacy", taką osobę, godną pełnego zaufania??

Listy proszę kierować na poste - restante Poznań (dla „Hestii.)"

Teczka Wujka Janusza

SPEŁNIŁEM ŻYCZENIE

„Maleńka Dzidzi". Bardzo dziękuję Pani, „Maleńka Dzidzi", za wszystkie miłe i jakże chwilami promienne słowa — jestem nimi szczerze wzruszony i... wcale, wcale nie przejmuję się burą, która mi się równocześnie dostała. Bo i jakże mógłbym to czynić, gdy wiem, że osóbka, co niby tak okrutnie strofuje — za minutę przeprosi starego Wujka Janusza w sposób szalenie ujmujący.

Podziwiam zapał twórczy, jaki się w Pani obudził — przypuszczam, że te dobrodziejstwa lata wpłynęły tak dodatnio, budząc wiele aktywności.

Niech się ona dalej rozwija z równą lub przynajmniej podobną siłą, a będę naprawdę zadowolony. Tak zadowolny, jak z wierszyka „Nie ma już Ciebie", który umieściłem w myśl życzenia w numerze 30-tym.

Drugi wierszyk jest już dużo słabszy i wymaga uważnych poprawek. „Maleńka Dzidzi" winna postarać się o bardziej udatne wykończenie przyszłych wierszyków. I postara się — prawda?

Teraz powtórzę słowa przeznaczone dla „Romantycznego Śpiewaka", lecz czynię to — zaznaczam — na wyraźne życzenie Pani:

Otóż „Maleńka Dzidzi" odwzajemnia „Romantycznemu Śpiewakowi" pozdrowienia i oznajmia mu, że też jest romantyczną pieśniarką, tylko, że minęła się... z powołaniem.

Ponadto pozdrawia ona wszystkich „Krainiaków" i życzy im najpromienniejszych dni.

SZCZERE ZDANIE

„Królowa Gizela". Wiersze Pani, „Gizello", znalazły się w mej teczce, jak wiele innych i... jak wiele innych, skazałem je na zagładę.

Prosiła mnie Pani o szczere zdanie i obiecałaś nie przejmować się w wypadku nieprzychylnej oceny — ja też to czynię, mniemając słusznie, że należy odbierać złudzenia ludziom, którym by one mogły przynieść szkodę. A Pani przyniosłyby szkodę, jeżeli już nie większą, to w każdym razie ważną, mianowicie stratę czasu. Lepiej poświęć, „Królowo Gizello", ten czas na jakąś inną pracę, a wierzę, że da Ci na więcej radości i zadowolenia niż pisanie wierszy.

Jeżeli chcesz wiedzieć, co im zarzucam, to powiem Ci, że przede wszystkim brak w nich rytmu, a rymy są raczej częstochowskie — myśl piękna, lecz technika, że się tak wyrażę — wiersza jest zupełnie słaba.

Pragnę szczerze, abyś nie miała do mnie żalu — czy nie masz?

Pozdrawiam Panią bardzo serdecznie i proszę napisać znowu do mnie.

PRZYKRO MI...

„Cygan Czesio spod Unisławia". Przykro mi, ale muszę donieść Panu, że wierszyki są bardzo słabe. Nie nadają się zupełnie do druku. Najlepszy jest jeszcze wierszyk p. t. „Wiejski kościołek", lecz i on nie jest na poziomie wierszy umieszczanych w naszym piśmie.

Gdyby mnie Pan zapytał, czy warto myśleć Panu nadal o poezji, odpowiedziałbym owszem, ale raczej o poezji prawdziwej, pisanej przez natchnionych i wykształconych autorów, nie zaś o swojej, która nie ma przed sobą najmniejszej przyszłości.

I, proszę Pana, nigdy w życiu nie należy wychodzić na łatwiźny!

A jego wiersze są nimi, mówiąc pobłażliwie, gdyż opierają się na motywie, ba, sa nawet znanymi piosenkami ludowymi o lekko tylko zmienionych słowach.

Z ODDALI...

...I poprzez dale, wraz z listem twoim,
Przypłynął ku mnie twój uśmiech cichy —
Jakby się wieszczki w krąg rozśpiewały,
Świat cały w słońcu, w złocie — wspaniały!
I aż mi w duszy huczą organy:
Pieśnią przecudną — pieśnią radości...
— Wokół dzień śmiechem jest rozedrgany.
Aż w wazoniku kwiatów kielichy,
Spłonęły wdziękiem — zadrżały śmiechem,
A śmiech ten w duszy odbił się echem...
I długo gamy śmiechu w krąg drgały —
Aż się w mej duszy zbudziła wiara,
Że złote szczęście znów ku mnie wróci,
I w mojej duszy znowu zagości —
Pieśnią przecudną — pieśnią radości!....

„Biała Ujali".

Raj kobiet



W 6388 Fartuch płaszczowy z deseniowego kretonu czy płótna — można go nosić zamiast sukienki przy pracy w ogródku. Potrzeba około 3.80 m. materiału, szer. 80 cm.

K 28654 Sukienka do użytku domowego, bardzo miła i praktyczna; nadaje się na nią materiał do prania. Potrzeba około 3,45 m mater., szer. 80 centymetrów.

W 38348 Łatwa w wykonaniu i bardzo praktyczna sukienka, imitująca fartuch, zapinana na szereg guzików. Potrzeba około 4,10 m materiału, szer. 80 cm.

W 38347 Barwny muślin w kratę nadaje się na tę miłą sukienkę, o prostym kroju. Potrzeba 4.10 m. mater. szer. 80 cm.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie 2,— zł za sztukę.

Jeszcze o Amelii Earhart

W ostatnim numerze naszego tygodnika pisaliśmy o Amelii Earhart, której wspaniały lot został tak brutalnie przerwany — przez zrządzenie losu.

Jedno jest pewne, że zainteresowanie się losem bohaterskiej lotniczki absolutnie nie upada.

Masy ludzi ze wszystkich krańców świata z niepokojem wyszukują w czasopismach wszelakiego typu i pochodzenia wzmianek o zaginionej.

Wszyscy przejmują się jej tragedią, wszyscy jej współczują i wszyscy nieledwie kochają tę, wszakże obcą, a nagle tak nam drogą kobietę. Drogą przez bohaterstwo, przez zaparcie się siebie w dążeniu do przysporzenia światu zwycięstw i zdobyczy naukowych.

Dlatego myślę, że nie miniemy się z życzeniem naszych Czytelników, gdy podamy więcej o niej.

Otóż lotniczką postanowiła zostać już w roku 1919. Jako młoda dziewczyna pojechała wraz z rodziną do Los Angeles, gdzie założono właśnie lotnisko.

Amelia Earhart mogła więc przypatrywać się startom i przylotom aeroplanów i miała sposobność zapalić się do lotnictwa.

Przy najbliższym spotkaniu poprosiła znajomego lotnika — słynnego później — Franka Hawks, żeby ją przewiózł choć kawałek i pozwolił zakosztować emocji lotu.

Po tym pierwszym przelocie Amelia Earhart zdecydowała nauczyć się pilotażu. — Wstąpię na kursy lotnicze — powiedziała w domu zaraz po powrocie z lotniska.

Nikt się temu nie przeciwstawiał, bo nikt tego nie brał na serio. Dopiero po kilku dniach wybuchła burza.

— Obiecałeś mi przecież, ojcze — mówiła z żalem. — Informowałam się. Taki kurs kosztuje tysiąc dolarów. Liczyłam na to, że dostanę te pieniądze.

— Nie jestem milionerem, żeby rzucać pieniędzmi dla zaspakajania twoich fantazyj — odpowiedział oburzony pan Earhart.

Amelia nie nalegała więcej. Następnego dnia zaczęła szukać posady. Została telefonistką. Dla zaspokojenia swojej „fantazji" musiała ciężko pracować. Posada, równocześnie studia uniwersyteckie i kursy pilotażu.

Na kursach Amelia Earhart wyróżniała się. Nie zdolnościami, ale innym niż koleżanki i koledzy stosunkiem do pracy. Poważna, spokojna i nieśmiała — daleka była od rojeń o niezwykłych wyczynach, o raidach, o akrobacji.

— Ty nie masz żadnych ambicyj na polu lotnictwa — mówili jej koledzy.

— Jakto, chcę opanować porządnie pilotaż, czyż to mało? — dziwiła się ona.

Po skończeniu kursów cicha, ale przecież silna pasja Amelii Earhart została częściowo zaspokojona. Teraz należało jeszcze zdobyć samolot. O kupieniu na własność nie mogła na razie marzyć. Znalazł się jednak ktoś, kto za niewielką opłatą pozwolił korzystać jej ze swego aparatu. Mogła latać ilekroć chciała. Ale z tego nie można jeszcze żyć.

Amelia kończy studia i obejmuje posadę asystentki w szkole dla dziewcząt w Bostonie.

Mijają lata. Zamiłowanie Amelii do lotnictwa nie stygnie — przybiera tylko inną może formę. Nie technika pilotażu, ale zagadnienia teoretyczne i propaganda lotnictwa — zajmują ją w tym okresie przede wszystkim. Zakłada w Bostonie klub lotniczek. Wygłasza odczyty, pisze artykuły, zbiera dokumenty dotyczące dawnych lotów.

— Dzielna i pożyteczna dziewczyna z tej Amelii —mówiono o niej wówczas.

Ale nie była to droga do sławy. Nie była droga, ale... już nadchodziła sama sława, ogromna i wspaniała!...

Pewnego kwietniowego wieczoru 1928 roku do szkoły, w której Amelia Earhart, pracowała, zgłosił się znany lotnik kapitan Railey.

— Przygotowuje się lot: New York — Nowa ziemia; Nowa Ziemia — Anglia. Czy zechciałaby pani wziąć w nim udział? — zapytał zdumioną Amelię.

— Raid ten organizuje mrs. Frederick Gurst. Kupiła ona samolot od pułkownika Byrda. Sama chciała wziąć udział w locie, ale ważne przyczyny stanęły jej na przeszkodzie. Mrs. Gurst pragnie jednak, żeby zastąpiła ją inna kobieta. I żeby tą pierwszą kobietą, która przeleci Atlantyk była Amerykanka.

Amelia Earhart nie szukała sławy, ta sława sama do niej przyszła.

Samolot, pięknie nazwany „Friendship" — „Okręt Przyjaźni" — pilotować miał Bill Stultz. Jako mechanik leciał Lou Gordon. Na trzecią — Amelia Earhart.

Wiele było przeszkód w tym raidzie. Fatalna pogoda przez długi czas uniemożliwiała start. Wreszcie 17-tego czerwca trójka dzielnych lotników wyruszyła na zdobycie Atlantyku. Pogoda w dalszym ciągu nie dopisywała. „Friendship" leciał wśród mgły. Amelia Earhart przeleciała nad Atlantykiem nie widząc go.

Po tym raidzie imię Amelii Earhart stało się oczywiście głośne. Dzielna lotniczka nie dała się jednak uwieść sławie. Nie upajała się triumfem i nie myślała o dalszych raidach, któreby jej sławę umocniły. Wróciła natomiast na drogę, którą za najbardziej pożyteczną uważała.

Wynajęła samolot i rozpoczęła tournée propagandowe wzdłuż Stanów Zjednoczonych. „Wszyscy powinni przyzwyczaić się do latania, wszyscy powinni uczyć się pilotażu" — oto hasła, które propagowała.

Od chwili zamążpójścia zmienia się dopiero nastawienie życiowe. Amelii Earhart. Jej mąż, agent ogłoszeniowy — M. Putman nie może przeboleć, że Amelia lekkomyślnie zaprzepaszcza wyjątkowe szanse, jakie zdobyła dzięki przelotowi nad Atlantykiem. „Świat zapomni wkrótce o Amelii Earhart, jeśli nie zabłyśnie ona powtórnie, jeśli nie zaimponuje jakimś nowym rekordem" — martwił się małżonek dzielnej lotniczki.

I on to był powodem, że w maju 1932 r. podejmuje lotniczka raid: Nowa Ziemia — Zelandia.

Lot udaje się i Amelia zostaje pierwszą zdobywczynią Atlantyku, pierwszą kobietą, która sama przeleciała nad tym oceanem.

Od tej pory nie ma już spokoju, nie ma go aż do ostatniego lotu, który wszystkim tak dokładnie jest znany.

Tragiczny to lot, lecz czy ostatni — przyszłość pokaże, a Bóg postanowi.

Czy wiecie, że...

Największą od kilkudziesiątek lat perłę złowiono przed kilku tygodniami w Port Darwin w Australii północnej. Perłę tę, mającą kształt gruszki, długości 2 cm, znalazł pewien malajczyk, zatrudniony w przedsiębiorstwie połowu pereł w Port Darwin. Perła jest bez najmniejszej skazy, wartość jej wynosi około 1.000 funtów, to jest 30 tysięcy złotych.

—o—

23-letnia Niemka, Teodora Schmidt, odbywając lot szybowcowy, utrzymała się w powietrzu 23 godziny i 42 minuty. Wylądowana ona na wyspie Sylt. Niemieckie władze lotnicze zgłosiły do F. A. I. wniosek o uznanie lotu Teodory Schmidt, za światowy rekord szybowcowy dla kobiet.

—o—

Powstał „Parlament kobiet" — czy to nie brzmi zlekka ironicznie? A jednak jest w Europie kraj, w którym zrealizowano po części marzenie femi-

nistek. To Estonia, od lat dziewiętnastu niepodległa, najmniejsze z państw bałtyckich i jedyne w Europie państwo, nie znające bezrobocia.

Ten estoński parlament kobiet, to coś w rodzaju korporacji utworzonej dla kobiet, których zawodem jest prowadzenie gospodarstwa domowego (a w Estonii uważa się powszechnie, że to zawód taki sam, jak inne, i wcale nie gorszy od innych).

Otóż ta korporacja (czy „parlament" — jak kto woli) pań domu rozwija bardzo ożywioną działalność i bierze czynny udział w pracach społecznych i gospodarczych kraju.

Jak wiadomo, Estonia jest jednym z „najtańszych" krajów Europy, to zn., że tam koszty „życia" są wyjątkowo niskie. Przewodnicząca „parlamentu kobiet" pani Eenpalu, twierdzi, że jej koleżanki mają główną zasługę w utrzymaniu tego stanu rzeczy. Czy ma słuszność? Jeżeli tak, to nie zawadziłoby i u nas — utworzenie takiego „parlamentu".

—o—

Świat i życie

Szósty zmysł

Z pośród zwierząt ciepłokrwistych tylko nietoperze rozporządzają szóstym zmysłem, polegającym na odczuwaniu odległości.

Choćby noc była najciemniejsza, nietoperz lata z najzupełniejszą pewnością pomiędzy najwęższymi przeszkodami, jak n. p. oka sieci, nawet wówczas, gdy pozbawi się go wzroku. Cudowną tę własność dają mu narządy, umieszczone w skórze i rozwinięte zwłaszcza w skrzydłach i głowie. Nietoperz wprawia te narządy, niesłychanie czułe, w drgania, wywołując ruch warstwy powietrza, a falowanie to powietrza odbijając o najdrobniejszą choćby przeszkodę, wraca do zwierzęcia i cichym tonem zawiadamia je o niebezpieczeństwie.

Ale i u ludzi zauważono zadziwiające objawy, zakrawające na ten szósty zmysł nietoperzy. Niewidomi na przykład, potrafią często poruszać się, omijając z zupełną pewnością przeszkody, zanim ich dotkną.

Jak oświadcza dr. Kellnar na łamach miesięcznika niemieckiego „Umschau in Wissenschaft und Technik", początkowo przypisowano to odczuwaniu przez niewidomego uchem pewnych fal dźwiękowych, które przez ruch swój wytwarza, a które odbijając się o przeszkodę, powracają do niego. Okazało się jednak, że niewidomi, rozporządzający dobrym słuchem, nie zawsze odznaczają się tym zmysłem odległości. gdy tymczasem zdolność taką posiadają niewidomi, obciążeni też głuchotą. Stopniowo więc stwierdzono, że to niezwykle wrażliwa na dotyk skóra na czole i skroniach kaleki, ulega podrażnieniu już pod wpływem fal i zmiany ciśnienia powietrza, wywołanych ruchem niewidomego, ostrzegając go w ten sposób przed grożącymi mu przeszkodami.

Zapewne odgrywają tu także dużą rolę temperatura i stan powietrza. Jeżeli powietrze znajduje się w stanie silnego ruchu, wówczas odczuwanie to przeszkód zawodzi.

W każdym razie człowiek nie rozporządza takim narządem do odczuwania odległości, jak nietoperz. To zaś, że może dojść do jej odczuwania, zależy od stopnia wykształcenia się w tym kierunku. Ociemniali, którzy są zawsze prowadzeni przez kogoś, nie potrafią się tak orientować, jak ci zdani na własne siły. Przymus polega tylko na sobie, doprowadza niewidomych do takiego wykształcenia tych zmysłów, jakimi jeszcze rozporządzają, że stają się zdolni do chwytania wrażeń zmysłowych, o jakich człowiek normalny nie ma pojęcia, bo ich nie potrzebuje.

ADAM CZEKALSKI. **Przedruk wzbroniony.**

ZEMSTA

(NOWELA).

Jak to! Więc ma skonać tutaj, na mrozie, na oczach tego mordercy, tego zbója? Zczeznąć,, jak pies?...

I nie pomści się już nigdy na nim, ani na tej przeklętej syrenie? Głuchy bunt przepełnił go całego, ściśnął za krtań, dławił...

Spróbował się poruszyć, ale zrozumiał, że nie jest w stanie nawet zgiąć palca. Ponowił jednak próbę i tym razem udało mu się odwrócić nieco głowę, a jednocześnie z bólem stwierdził, że i szyję ma przymocowaną do szyny.

— Ooo!

— Ty płaczesz, Rochu?

To pytanie smagnęło go gorzej bicza. Zdławił w sobie natychmiast jęk i szarpnął się gwałtownie.

— Jeszcze pół godziny, Rochu!

O, gdyby się mógł oderwać od tych przeklętych szyn, gdyby się mógł oderwać! I ten rewolwer. Ma go w kieszeni, tak blisko, tak bardzo blisko, a jednak nie może go dostać.

A przecież mógł go użyć, mógł go użyć wcześniej, zanim ten zbój go napadł. Nie leżałby teraz tutaj, skrępowany, jak baran na rzeź i ten morderca nie stałby nad nim i nie drwił.

W przytulone do ziemi jego ucho wpadł jakiś daleki odgłos, jakby czyichś kroków; odwrócił głowę i zobaczył w dali mdłe światełko.

— To strażnik kolejowy — błysnęło mu w mózgu — ratunek bliski.

Kroki z każdą minutą przybliżały się, światełko rosło.

— Jeszcze dwadzieścia minut, Rochu.

Roch każdy nerw miał naprężony — do granic wytrzymałości ludzkiej. Czuł, że jeśli ratunek nie nadejdzie szybko, wpierw, nim pociąg pośpieszny nadejdzie — może oszaleć! A kroki rzeczywiście stawały się coraz wyraźniejsze, światełko coraz większe i jaśniejsze.

— Ratunek! Ratunek już bliski!

Znowu nadzieja wstąpiła w jego zamarłe z zimna i przerażenia serce.

Uratuje się, musi się uratować, a wtedy zemści się, o strasznie się zemści!...

Nabrał w płuca powietrza i krzyknął:

— Ooo!... Ratun...

Ale w tej chwili spadła na jego usta potężna dłoń Rafała i błyskawicznie wpakowała mu chustkę między zęby. Więc targnął się i udało mu się oderwać szyję od szyny. Ale czuwający mściciel przytroczył go z powrotem do groźnego żelaza. Roch zziębły, wyczerpany, myślał już tylko o krokach, co się zbliżały i widział światełko, co tak powoli rosło.

— Jeszcze kwadrans, Rochu!

Rafał stał nad nim, palił fajkę i przy jej ogniu patrzył na trzymany w ręce zegarek.

Nagle kroki ustały. W Rochu wszystko zamarzło i zlodowaciało. W tej chwili nic już nie czuł: ani radości, nadziei, ani obawy śmierci. Wir szalonych myśli, po długiej dopiero chwili, burzą zerwał mu się w mózgu.

Kroki się znowu ozwały, zachybotało światełko latarki dróżnika. A, więc nie zginie, nie zginie, nie zginie!...

Ten zbój, ten tchórz, który boi się nastawić swojej piersi nie będzie triumfował. Ofiara wymknie mu się z rąk. A wtedy, o! wtedy zemści się i na nim i na niej, na tej syrenie wiejskiej, na tej kusicielce, na tej łotrzycy, która tak zręcznie go uwiodła, nad taką przepaść zaprowadziła.

Lecz co to? O, Boże, co to?

Roch znowu słuchał z taką mocą, że choćby był jak pień głuchy, zrozumiał by, że kroki się oddalają.

— Jeszcze dziesięć minut Rochu.

O, przekleństwo losu! Ale nie, mściwy wróg nie będzie triumfował.

Roch zebrał wszystkie siły i targnął się z taką mocą, że oderwał się od szyn i potoczył z nasypu w dół. Ale tuż za nim spadł do rowu Rafał, przygniótł go do ziemi, po tym podniósł, wtaszczył do góry, przymocował do szyn. Potem nabił nową fajkę, zapalił ją, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Jeszcze ośm minut.

Zmarznięty na kość, Roch zdawał się w ogóle nie słyszeć tej uwagi. Leżał bezwładny, śmiertelnie znużony i zgoła nieprzytomny. A gdy tak leżał z uchem przy zmarzłej ziemi, doleciał go daleki jeszcze bardzo i stłumiony huk pędzącego pociągu. Huk ten leciał po szynach stłumiony jeszcze, ale już nie ulegało żadnej wątpliwości, że to nadchodzi pociąg.

I znowu bunt wściekły zerwał się w skazańcu. Ogarnęła go straszliwa rozpacz.

Więc musi umrzeć? Tak młodo, i taką haniebną śmiercią? O, gdyby mógł, dosięgnąć ręką choć główni pistoletu, który nosi jak na wojnie, na urągowisko w kieszeni. Rozprawiłby się wtedy!... Mieć śmiercionośną broń przy sobie i nie móc obronić nią własnego życia!...

— Jeszcze tylko pięć minut...

Morderca! Stoi nad nim i torturuje tym straszliwym przypominaniem.

Huk biegnie wciąż, staje się coraz donośniejszy, coraz potężniejszy.

Roch odwraca mimowoli głowę, bo coś niepojęcie zniewala do patrzenia w stronę nadjeżdżającego pociągu i wraz straszliwa wizja płomieniem zalewa mu mózg. Pociąg wpada na niego, miażdży, masakruje, łamie kości...

Rochowi wydaje się, że słyszy chrzęst łamanych kości, widzi straszliwie okrwawiony strzęp, który jeszcze niedawno był żywym człowiekiem, żywym Rochem Smolińskim... A wzdłuż toru krew, całe kałuże krwi...

Roch próbuje odpędzić od siebie tę wizję, próbuje nie myśleć, ale okropna scena gwałtem wdziera mu się w mózg, wgryza się weń cała czerwona, czerwieńsza od najwspanialszej purpury...

A huk biegnie, biegnie...

Już teraz Roch widzi na zakręcie drogi tego potwornego smoka, złożonego z kilku czarnych członów, widzi że z każdego tego człona błyskają ogniste ślepia. Na przodzie jego — głowa z żelaza i stali, a w czole dwa potwornych rozmiarów ślepia, z których zieje ogień.

Roch przymyka oczy. Pod czaszką czuje ogień, całe ciało ma rozpalone. Mróz? On wcale nie czuje żadnego mrozu, żadnego chłodu, nic. Leży jak martwy. Oczy prawie same się otwierają, więc wpija się źrenicami w lokomotywę z taką mocą, jakby ją chciał spojrzeniem tym ujarzmić, powstrzymać.

Dwa żółtawe światła, szukając biegną po błyszczących szynach; za chwilę już go odnajdą i jak ten goniec śmierci dotknięciem naznaczą. Z potwornego brzucha lokomotywy sypią się złote łzy i z sykiem gasną na zmarzniętej i zlodowaciałej ziemi.

Pociąg jest już tuż — już jego światła dotykają leżącego... Huk idzie straszny, okropny... Za chwilę wpadnie na niego ten kolos żelazny, rozhukany, grzmiący, dyszący, wściekłością — pożre go — pochłonie, rozniesie na żelaznych kołach...

— Rochu ratuj się!...

Rafał jednym szarpnięciem oderwał jeńca od szyn i stoczył się z nim z nasypu w rów. A Roch poderwał się nagle i chwyciwszy się oburącz za głowę pobiegł w pole.

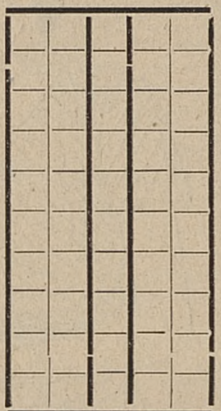
Lokomotywa wpadła na miejsce, gdzie leżał Roch, a maszynista, wychyliwszy się z lokomotywy, usłyszał straszliwy, mrożący krew w żyłach, tamujący bicie serca — obłędny krzyk:

— Moja głowa!... moja głowa!... moja głowa!...

Koniec.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf
pod. „Eros".



Znaleźć 20 wyrazów trzyliterowych i umieścić je w figurze tak, aby ostatnia litera wyrazu pierwszego była początkową drugiego. Środkowy pionowy rząd da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów:

ściana — pierwiastek chemiczny
zabawy — potwierdzenie (ang.)
woda stężała — podarek
ciało lotne — złe
część Polski — forma gram od posyłać
ryba — owad
narty — imię artysty filmowego
instrument muzyczny — płaz
zwierzę pociągowe — porządek
ostre zęby — moneta japońska.

Wyrazy o dwu lub więcej znaczeniach czyli homonimy.

Znaleźć właściwy homonim określony poniżej kilkoma wyrazami:

1) Kość — część zbroi =?
2) Rzeka — choroba =?
3) Tłuszcz — dzielnica m. Gdańska =?
4) Zryczałtowana zapłata — zbiórka, podział czynności =?
5) Narzędzie jednego ze zmysłów — kratka sieci, gra w karty =?
6) Logiczne twierdzenie — część zdania =?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do środy, dnia 4 sierpnia 1937 r.

Rozwiązanie zadań z nr. 29 „Moich Powieści":

Konikówka:

To los mój senne królestwa posiadać,
Nieme mieć harfy i słuchaczów głuchych. (wyjątek z Słowackiego).

Wprost i wspak: „Kobyła ma mały bok".

Trafne rozwiązania zadań nadesłali pp. M. Kozłowska — Katowice, Edmund Lewandowski — Toruń, Bogdan Siemianowski — Mogilno, Melania Pankiewiczówna — Dębogóra i „Eros".

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. M. Kozłowskiej z Katowic i E. Lewandowskiemu z Torunia.


W międzynarodowych zawodach szybowcowych w Rhön (Niemcy) wzięli udział przedstawiciele szeregu narodów europejskich. Na zdjęciu grupa zawodników bułgarskich

tęskni. O, niechże pani usłucha głosu swego serca, przemawiającego pewnie silnie za kochanym dawniej człowiekiem. — Niech pani stłumi w sobie każdy poryw fałszywej dumy i przebaczy skruszonemu winowajcy, który i tak już winę swoją ciężko odpokutował. Prawda jest, że on panią bardzo skrzywdził, ale temu głównie ja jestem winna, a nie on.

Niech się pani na mnie zemści i mnie przeklnie, ale mężowi swemu niech pani przebaczy. To ja usidliłam niewinnego młodzieńca i kusiłam go tak, że się nie mógł oprzeć i uległ. Wina jest tylko po mojej stronie. Proszę zatem przebaczyć swemu mężowi. — Jesteśmy wszyscy ludźmi i potykamy się często, ale przebaczyć i zapomnąć to są boskie cnoty.

Podczas, gdy baronowa von Wimpfen mówiła, Hortensja płakała rzewnie, a łzy spływały jej po policzkach. Wszystko, co przecierpiała w opuszczeniu i samotności, odżyło w niej na nowo.

Gdy baronowa skończyła, młoda kobieta opanowała się, choć z ogromną trudnością i z serdecznymi słowami zwróciła się do osoby, którą dawniej uważała za swoją nieprzyjaciółkę.

— Gdyby pani mogła zajrzeć w moje serce — rzekła z pewną wyższością — tobyś pani nie była tak prosiła za moim mężem. Dawno bowiem mu już przebaczyłam. Wina nie była całkiem po stronie pani, ani też po jego, lecz może także trochę i we mnie. Byłam jeszcze pół dzieckiem, gdy za niego wychodziłam i nie umiałam męża swego zająć i zadowolić. Ale zapomnijmy o przeszłości. Pośpieszę natychmiast do niego i jeśli pani ma mi jeszcze coś do powiedzenia o moim mężu, to proszę to uczynić bez ogródek.

— Powiedziałam wszystko, co wiedziałam — rzekła baronowa wzruszona. — Znajdzie go pani z pewnością w Tryeście, choć może pod zmienionym nazwiskiem i wśród niezwykłych stosunków. Zostawię pani swój adres na wypadek, gdybym się pani na coś jeszcze mogła przydać. Będę mieszkać w swoich dobrach na wsi, ale z przyjemnością pomogłabym pani radą i czynem.

— Serdeczne dzięki — zawołała Hortensja gorąco. — Ale sądzę, że miłość moja wskaże mi drogę do odzyskania mego męża. Własnymi siłami chcę go zdobyć na powrót.

Baronowa podniosła się z siedzenia. Misja jej była spełniona, nie miała tu już więcej co robić.

— Niech Bóg panią błogosławi — szepnęła łagodnie — i niech się pani poszczęści. Spojrzałam w czyste i szlachetne serce pani i to dało mi odwagę prosić ją o przebaczenie. Czy potrafi pani na przyszłość pomyśleć o mnie bez nienawiści i przekleństwa?

Spojrzała błagalnie na młodą kobietę, od której oczekiwała wyroku, ale z oczu Hortensji promieniała nadludzka dobroć i przebaczenie. Objęła ona baronowę i pocałowała w czoło. Kobietę, która jej tyle złego uczyniła.

— Niech to będzie dowodem mego przebaczenia — szepnęła łagodnie.

— Pani mnie upokarza swoją dobrocią — jęknęła baronowa. Czuję coraz większą skruchę. Niech Bóg panią błogosławi i uszczęśliwi, tak, jak pani na to zasługuje.

To rzekłszy, wyszła prędko z pokoju, aby ukryć przed Hortensją łzy cisnące się jej do oczu. Dopiero gdy znalazła się zamknięta w zamkniętym powozie, puściła folgę wezbranemu uczuciu i gorzkie łzy spóźnionej skruchy pociekły obficie po zbladłych policzkach.

Gdy baronowa wyszła, Hortensja pobiegła do sypialni i padłszy na kolana przed obrazem Ukrzyżowanego, złożyła u stóp Jego dziękczynne modły. Uczyniwszy zadość tej świętej powinności, zaczęła przemyśliwać nad tym, jakby się zabrać do odszukania Leona. W rezultacie ułożyła plan, któregoby się nikt po tym dziecinnym stworzeniu nie mógł spodziewać.

Po krótkim namyśle zadzwoniła na starego Luigiego, którego chciała pozyskać dla siebie jako sprzymierzeńca.

— Luigi — przemówiła do niego. — Byłeś memu ojcu zawsze wiernym sługą. Czy chcesz tę wierność przenieść na mnie?

— Przysiągłem to sobie przy Matce Boskiej Pizańskiej, że będę pani tak samo wiernie służyć, jak memu nieboszczykowi panu — odpowiedział poważnie stary służący.

— Dziękuję ci — odpowiedziała Hortensja — a na dowód, że ci ogromnie ufam, chcę ci się ze wszystkim zwierzyć. Wiedz więc, że mam wiadomości o swoim mężu i miejscu jego pobytu. Chcę jak najprędzej do niego pojechać, a ty pojedziesz ze mną dla pomocy i porady. Twoje doświadczenie i znajomość świata uzupełnią to, co mnie brakować będzie. Czy chcesz mi udzielić swej pomocy, Luigi?

— Miejsce kobiety jest u boku swego męża — wygłosił Luigi z patosem. — Jeśli on zbłądził, to rzeczą kobiety jest naprowadzić go znów na dobrą drogę. Signora jest córką mego drogiego nieboszczyka pana i dlatego uczyni tylko to, co dobre i szlachetne. Wreszcie nie jest rzeczą sługi, roztrząsać czynności swego państwa. Pójdę za moją panią i spełnię święcie, co mi rozkaże.

Najtrudniejszą sprawą było uzyskanie pozwoleństwa od opiekuna, gdyż jako niepełnoletnia, nie mogła odważyć się sama na tak ważny krok. Co powie Feldern na jej postanowienie?...

Hortensja napisała kilka słów do asesora, prosząc go, aby odwiedził ją jak najprędzej, celem omówienia bardzo ważnej sprawy. Z biletem tym wysłała Luigiego do kancelarii Felderna i oczekiwała z niecierpliwością jego przybycia.

Gdy Klemens von Feldern otrzymał list od swej pupilki, zaniepokoił się bardzo. Miał bowiem przeczucie, że będą to dla niego bardzo niepomyślne nowiny i niezwłocznie poszedł do młodej kobiety.

Już pierwsze słowa Hortensji potwierdziły jego obawy, bo, opowiedziawszy mu całą rozmowę z baronową, rzekła:

— Prawda, panie asesorze, że i pan uznaje święty mój obowiązek odszukania mego męża, i nie sprzeciwiasz się mej podróży?

Piękna twarz Felderna sposępniała i musiał zebrać wszystkie siły, aby nad sobą zapanować o tyle, aby móc ukryć własne uczucia a wyrazić tylko obawę o Hortensję.

Miał on Waldaua za człowieka bez charakteru i bez honoru, za oszusta i tchórza i nie mógł pojąć, jak Hortensja mogła pałać jeszcze zawsze miłością dla tego nędznika, że go chciała odszukać i poświęcić mu swe życie. Nie, na to nie mógł pozwolić, gdyż ten lekkomyślnik przehulałby z pewnością jej majątek i zniszczyłby ją nietylko materialnie, ale i moralnie. Jako opiekun, nie mógł dopuścić do tego i obowiązkiem jego było przekonać Hortensję o ewentualnych złych skutkach jej czynu, gdyby go wykonała i prosić ją, aby nie narażała lekkomyślnie swego spokoju i swej przyszłości.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

FLAVIA STENO

2

Nauczycielka

Nigdy nie widziałem tak rzadkiej dobroci i tak wykształconego i wielkiego umysłu! Zapewne, rama jest piękna, ale obraz wart znacznie więcej!... Moja biedna Cycylia musiała się modlić w niebie o natchnienie dla pani na ten wybór. Jeżeli w tym strasznym bólu, jaki mnie dotknął, może być dla mnie jeszcze jaka pociecha, to jest nią ta świadomość, że moje dzieci są pod opieką tak drogiej i dzielnej osoby, ba, prawdziwego anioła dobroci i wyrozumiałości dla moich biednych skarbów, jakże nieszczęśliwych! Daisy mówi ze mną o swej nauczycielce z takim entuzjazmem, że mi serce rośnie; Lawrence uśmiecha się mniej smutnie, odkąd ona przyjechała. Co mnie najbardziej wzrusza, to dobroć i delikatne uczucie, jakie okazuje memu biednemu synowi. Parę razy zaszedłem ją w parku, siedzącą przy fotelu mojego ukochanego i czytającą mu jakąś ładną książkę, podcza gdy Daisy u jej nóg bawiła się lalką, a Peter uszczęśliwiony, odpoczywał na trawie, patrząc ze wzruszeniem na ten słodki obrazek.

Czy uwierzy pani, margrabino, że pierwszy raz płakałem ze szczęścia? Och, gdyby pani wiedziała, jak boli ojca nieszczęście jedynego syna! I czy pani myśli, że można pozostać obojętnym dla kogoś, kto w tak słodki i delikatny sposób osładza samotność i mękę mojego ukochanego? Powtarzam, nie wiem jak pani dziękować!

Względem miss Jane jestem zimny i nieprzystępny, może ona uważa to za dumę zwierzchnika. Gdyby jednak wiedziała, że ja całowałbym ziemię, po której stąpa anioł, co poświeca swą piękna młodość moim biednym dzieciom!

Ale może pani być spokojna, margrabino, będę dla fawoytki pani ojcem i protektorem, godnym zaufania. Ona jest cząstką mojej rodziny i nie zbraknie jej nigdy tego, co należy się przybranej matce małych St. Johnów.

Zechce pani również wyrazić moje pełne i całkowite zadowolenie szanownym nauczycielkom, dzięki którym poznała pani pannę De Breda. Jestem pewien, że tam w niebie, moja biedna Cecylia dziękuje pani i błogosławi ją razem ze mną.

Pełen szacunku
Sir Herbert St. John.

Margrabina di Roussel do sir Herberta.
Florencja 12 października 1896.

Szanowny Panie!

Cieszę się bardzo, że mogłam znaleźć dla pańskich dzieci wice-matkę tak inteligentną i dobrą, jak miss Jane. To, co mi pan pisze odnośnie do niej, nie dziwi mnie wcale. Siostry, które mi ją poleciły, wyrażały się o niej istotnie jak o rara avis i posyłając ją panu wiedziałam że zadowolę w zupełności pańskie pragnienie.

Ale jednej rzeczy nie zna pan zupełnie, a mianowicie przeszłości panny De Breda, przeszłości, której nie chciałam panu opowiadać przedtem, aby nie przysparzać niepotrzebnych obaw.

Przed dwoma laty, gdy jeszcze rodzina jej znajdowała się u szczytu fortuny i szczęścia, miss Jane zaręczyła się z oficerem kawalerii, walecznym i dumnym posiadaczem starożytnego nazwiska.

Gdy jednak De Breda wpadł w kompletną nędzę, wskutek nieszczęśliwych spekulacyj hrabiego, narzeczony Jane, który może zamierzał odświeżyć swój herb milionami panienki, zażądał zwrotu słowa, a otrzymawszy je, zniknął i nie wiadomo, co się z nim stało.

Dziewczyna dumna i wyniosła, chciała ukryć ból i rozpacz, które ją dręczyły, pod maską pogody i obojętności. Kto ją znał przedtem, piękną i świeżą, ten mówi, że po tym wstrząśnieniu nie przyszła już do siebie. Może, gdyby miała jeszcze matkę, któraby ją umiała pocieszyć, rana byłaby mniej bolesna i mniej głęboka, ale matka nie żyła już od roku, a ojciec po katastrofie wyjechał, powierzając córkę swej starej siostrze. Jane została sama, by walczyć i płakać.

Smutna historia, prawda mój przyjacielu? Nie opowiadałam jej panu pierwej, gdyż bałam się, że będzie pan potem spodziewał się ujrzeć panienkę bardzo smutną i zawsze nadąsaną; a teraz, gdy ją pan poznał, tak pogodną i słodką, oceni pan lepiej jej dobroć i słodycz, i jeszcze większe będziesz miał dla niej uznanie.

Ona nosi żałobę nie tylko po swej matce, ale także po swej miłości! Może przez dziwne pokrewieństwo dusz, dotkniętych nieszczęściem, sympatyzuje ona tak z pańskim Lawrence'm. W każdym razie rozumiem doskonale radość pana z powodu tej niewinnej i świętej przyjaźni, która musi być słodkim balsamem dla pańskiego serca.

Jestem pewna, że miss Jane będzie w dalszym ciągu zyskiwać pańskie przywiązanie i szacunek. Polecam ją panu gorąco, dla jej dobroci, dla jej wykształcenia, a nade wszystko dla względów, należnych jej urodzeniu i jej biednej duszy, która boleść tak doświadczyła!...

Proszę ode mnie pozdrowić miss Lawinię i często donosić mi wszystko o drogich dzieciach mej biednej Cecylii!

Panu — życzę odwagi i siły!

pańska oddana przyjaciółka
Lenora di Roussel.

14. październik 1896.

Zaczynam się powoli przyzwyczajać do tego życia, tak różnego od mojego minionego. Idzie teraz zima i wszystko tu dokoła jest otoczone tak głęboką ciszą, że łagodzi ona trochę nieuleczalną melancholię mej biednej duszy. Jakaż samotna jest ta dusza! Żaden promyk słońca nie dochodzi już do niej.. Och, od jak dawna żyje ona jedynie w królestwie zmarłych!

Czyż we mnie nie ma takiej samej białej i gęstej mgły, jak ta, która okrywa tam w dole równinę?... Czyż nie jest szara i zimna moja przyszłość wśród tej niewdzięcznej pracy, która nigdy nie może pochłonąć duszy tak, by nie cierpiała więcej?

O, mamo moja, przebacz mi, jestem taka smutna!

Mam dwadzieścia lat i nie mogę się powstrzymać od łez, myśląc o tej zimnej i bezradnej egzystencji, na którą jestem skazana!... Wielki Bóg nie powinien był dać mi poznać tej nieskończonej słodyczy, jaka jest kochać i być kochaną!

A raczej wierzyć, że się jest kochaną, gdyż ja tak wierzyłam, a czy tak było?

Panie, Panie! pozwól mi zapomnieć! Błagam Cię o to codziennie i nie wysłuchałeś mnie dotąd! Ach, jak słodko jest mieć czyjeś serce tylko dla siebie! Jak rozkosznie musi być położyć głowę na piersi mężczyzny i pomyśleć, że tu jest nasze schronienie, nasza podpora, nasza pociecha! Ja także potrzebuję pieszczoty!... Ja także jestem słaba i zmęczona!... I ja pragnę ramienia, na którym mogłabym wesprzeć własne serce, któreby biło tuż przy moim; uśmiechu, któryby mi otarł łzy, któryby zesłał promienie słońca tym biednym oczom, co tyle przepłakały! I czuję, że umiałabym dać szczęście!... I mam w sobie tyle uczucia, które tylko czeka, by je dać komu! Litości! Panie!

—o—

Słyszę już w ogrodzie fotel Lawrence'a, skrzypiący po drobnym żwirze ścieżki, a on sam pewnie patrzy w moje okna i pragnie mego widoku. Biedactwo, nieszczęśliwe biedactwo! Ty też jesteś wydziedziczony, może nieszczęśliwszy ode mnie! Ciebie także pozbawiono twojej cząstki słońca i może nigdy nie poznasz słodyczy kobiecego pocałunku i miłosnego uśmiechu! Biedne dziecko! Nie wiem dlaczego, ty budzisz we mnie głęboką sympatię! Może odgadujesz we mnie ukrytą na zawsze i niemą głęboką boleść: dlatego mnie szukasz, nie chcesz nikogo, tylko mnie. Wiesz, że cierpię i że cię rozumiem, współczuję ci i kocham cię, jak biednego, nieszczęśliwego braciszka!

Naskutek milczącej umowy rozmawiamy zawsze ze sobą po włosku; on mi mówi po prostu Giannina, gdy jesteśmy sami, a ja go nazywam Lorenzo. W wolnych godzinach, gdy dni są pogodne, wychodzimy trochę z domu i idziemy w głąb parku: Peter popycha fotel, Daisy idzie za nami z lalką lub robótką i zatrzymujemy się na końcu alei. Ja rozkładam mój składany stołeczek, siadam obok fotela i czytam memu drogiemu choremu jego ulubionych autorów: Tennyson'a, Shelley'a, Byron'a. On ma uczucia tak delikatne, że prawie chorobliwe, wykształcony umysł inteligentnego dojrzałego człowieka. W tej biednej chorej duszy jest wiele goryczy i myślę, że książki niektórych nowoczesnych autorów źle działają na niego. Lubi tylko Musset'a, Leopardiego, Heine'go. Czasem, by mu się nie sprzeciwiać, czytam to, co mu się podoba, ale często słucha mnie, gdy mu radzę, by porzucił te książki i przynoszę mu zdrowszych pisarzy.

Daisy uczy się i jest bardzo kochana. Nazywa mnie swoją mamusią. Kiedyś właśnie mówiła w ten sposób do mnie, gdy nagle na ścieżce, gdzie siedzieliśmy ukazał się sir Herbert. Wyszedł z za kępy drzew ze swoją sforą psów. Zarumieniłam się, jakby złapana na gorącym uczynku; on uśmiechnął się do dziewczynki i rzekł do mnie:

— Tak, tak, niech się pani pozwala tak nazywać. Dziękuję pani za to wszystko, co pani robi i proszę, by pani była prawdziwą matką dla tych dzieci.

Biedny sir Herbert! Jest taki dobry i wydawał mi się bardzo wzruszony! Nie, nie zawiodę jego zaufania! Chcę naprawdę być matką dla tych biednych dzieci. Zresztą mówią, że zajmowanie się szczęściem drugich jest jednym lekarstwem na własne cierpienia. Spróbujmy!

18 października 1896.

Nasz spokój ma być zakłócony! Dziś wieczór przy stole sir Herbert oznajmił, że sezon polowań jesiennych już się rozpoczął. Tego roku, z powodu trwającej jeszcze żałoby, baron zaprosił tylko najbliższych. Przez grzeczność wymienił mi ich: są to wszyscy krewni lub bliscy przyjaciele rodziny, lecz ja nie znam nikogo.

Bardzo jestem niezadowolona z tego wtargnięcia obcych w naszą melancholijną ciszę, do której dusza moja już zaczynała się przystosowywać.

Lorenzo również jest mojego zdania. Dziś wieczór, po obiedzie byliśmy sami w salonie, w którym zmrok kładł swoje sine, smutne cienie. Sir Herbert zeszedł do ogrodu; Daisy i miss Lawinia były jeszcze w jadalni, ja grałam, by rozerwać Lorenza, który patrzył we mnie, siedząc na swym stołku z oparciem. W pewnej chwili przerwał mi:

— Już się skończyły nasze miłe wieczory...

— Tak myślisz, Lorenzo? — zapytałam, patrząc na niego.

Ostatnie blade światło wieczoru zamierało na jego twarzy, kładąc jeszcze kilka nikłych promieni na jego wspaniałej czuprynie. Taki był ładny z tym wyrazem wielkiego smutku na bladej twarzy, lekko wyciągnięty na poręczy fotela. Jego oczy błękitne, niewinne i pogodne, jak oczy dziecka, wpatrywały się we mnie prawie z podziwem. Często go chwytałam na takim ciekawym studiowaniu mnie, jakby za każdym razem odkrywał w mojej twarzy coś nowego.

— Dlaczego tak sądzisz? — powtórzyłam, podnosząc się i podchodząc do niego.

— Nie słyszałaś co mówił papa? — Odpowiedział, robiąc aluzję do rozesłanych zaproszeń, o których poprzednio była mowa.

— Goście twojego ojca nie przeszkodzą nam przebywać razem — rzekłam wtedy, aby go pocieszyć.

— Doprawdy? będziesz i wówczas ze mną? — zapytał weselej.

— Jak możesz wątpić w to Lorenzo?

Nie odpowiedział, tylko wziął moją rękę, a ja czułam, że spadła na nią łza. Byłam wzruszona i nie wiem dlaczego, zakłopotana.

Powoli on znów zaczął mówić ze smutkiem:

— Ale to już nie będzie to samo.

— Dlaczego? zapytałam.

— Dlatego, że będziesz musiała dotrzymywać towarzystwa gościom papy!

— To do mnie nie należy, nie obawiaj się. To są obowiązki pani domu, a ja jestem tylko waszą nauczycielką.

— Sądzisz więc, że zostawią nas razem?

— Któż miałby nas rozdzielić?...

— To prawda... ale ja się tak boję... Wiesz, że przyjedzie Lionel, kuzyn papy?...

— Tak, i cóż stąd?

— Lionel jest bardzo piękny! — rzekł z akcentem zazdrości.

Nie odpowiedziałam; byłam bardzo zmieszana, nie rozumiem już tego zagadkowego chłopca: Boję się zawsze, by go nie zasmucić. Czegobym nie zrobiła, by mu oszczędzić jednej łzy. Dziwne! Gdy wpatruję się w jego twarz jeszcze prawie dziecinną z dziewiczym wyrazem wielkich, niebieskich oczu, czuję dla niego całkiem macierzyńską tkliwość, którą chciałabym wyrazić gradem pocałunków na tym białym chłopięcym czole; natomiast, gdy patrzę na jego biedne ciało, sparaliżowane, ale tak rozwinięte i silne w swej przedwczesnej męskości, ogarnia mnie nieopisane zmieszanie, którego nie umiem sobie wytłumaczyć, to uczucie mrozi mnie gwałtownie.

— Dlaczego?... Czyż nie jest zawsze i przede wszystkim biednym dzieckiem?

23 październik.

Dziś wieczór są oczekiwani: lord Dudley i sir Jerzy Lionel, kuzyn barona.

Miss Lawinia kazała przygotować pokój dla gości, zaś sir Herbert jest zajęty przygotowaniami do polowania. Pań nie zaproszono z powodu żałoby w rodzinie, to też wszyscy goście — to kawalerowie i starzy przyjaciele barona.

Już rano wyjechały dwa powozy dla przywiezienia gości. Daisy jest podniecona. Mówi, że sir Lionel przywiezie jej pewnie słodycze i piękny podarunek. Lorenzo jest zamyślony i smutny. Zdaje się, że jutro przybędzie reszta gości. Ja jestem nastrojona bardzo melancholijnie...

Och, jaka brzydka jest zima pod tym mglistym niebem Anglii! Dajcie mi trochę pogody i błękitu mojej Italii! Te kochane nasze toskańskie październikowe dni w naszej willi w Fiesole, jakie były słodkie i miłe!

Jakże daleka jest przeszłość! Biedna mamo, biedna zmarła, ty także musiałaś opuścić naszą drogą ziemię!... Tyś szczęśliwa, bo nie doświadczyłaś przedtem tej strasznej męki wyrzecze-

nia się!... Ach ta mgła, rozciągnięta daleko nad równiną! Zdaje mi się, że się duszę w ciasnym horyzoncie wiecznie zamkniętym tą białą, nieprzeniknioną zasłoną! O biedna duszo moja, czyż taka zawsze będzie twoja droga? Zawsze bez słońca?

28 październik.

Zamek zmienił zupełnie wygląd: nie żyje się tu już naszym miłym życiem, tak spokojnym i zacisznym. Sezon polowania wprowadził zamęt w nasze małe królestwo. Westibul jest stale zatłoczony strzelbami i torbami myśliwskimi; korytarz zawsze obłocony, pomimo starań miss Lawinii, która jest w rozpaczy.

Szczęście, że mężczyźni wyjeżdżaja wcześnie i wracają aż po obiedzie, z wielką ulgą moją i ku pociesze starej panny.

Wszyscy spotykamy się tylko przy obiedzie i to jest okropna godzina. Ja nie wiem, jak się mam zachować. Gdyby mnie przynajmniej zostawili w spokoju na moim miejscu nauczycielki, w rogu pokoju, między dziećmi! Nie! Miss Lawinia, która nie cierpi konwersacji, zajęła moje miejsce i posadziła po swej prawej stronie Daisy, dla której zaczęła się męka. Sir Herbert pragnął, ażebym usiadła naprzeciw niego, między lordem Dudley a Lawrence'm. Dobrze przynajmniej, że mi pozostawili to biedne dziecko. Jest on tak szczęśliwy, że siedzi blisko mnie, że często przekomarza się z Daisy i drażni ją, by wzbudzić jej zazdrość.

Tymczasem ja przy stole muszę bez przerwy rozmawiać, nie o dzieciach, jak przedtem, ale o całym szeregu rzeczy, którym jestem teraz obca, i które są dla mnie prawdziwą torturą. Lord Dudley okazuje mi ogromny szacunek. Rozmawiając ze mną, zawsze stoi i świadczy mi takie grzeczności, że większych nie mógłby uczynić, gdybym była baronową a nie nauczycielką.

Sir Jerzy Lionel nie podoba mi się wcale. To on jest tym sławnym kuzynem sir Herberta, tak pięknym, że Lorenzo zdawał się być zazdrosnym o niego. Jest piękny istotnie. Typ angielskiego młodzieńca, jasnowłosy, o wyniosłej postaci, pełnej męskości i życia. Adonis. Ale nie wiem dlaczego jego piękność jest mi kompletnie obojętna. Zajmuje się on bardzo sobą: nieustannie wąsy, poleruje paznogcie, przygląda się rękom!... Mam wrażenie, że nawet jego uśmiechy, gesty, pozy, intonacja głosu, wszystko jest przestudiowane, aby lepiej uwidocznić plastyczną piękność ciała. I to pełne próżności, bezustanne zajmowanie się sobą, wydaje mi się tak niemne u mężczyzny, że mimowoli rodzi mi się bardzo nieszczególne mniemanie o umyśle, który ożywia to wspaniałe ciało. Dla mnie piękność fizyczna mężczyzny nic nie znaczy, jeżeli jej nie towarzyszy wielka inteligencja i prawdziwa dobroć.

Nie wystarczy mi czoło gładkie i białe, jeżeli poza nim nie przebija odblask myśli, nie mówią do mnie oczy jasne i duże, jeżeli nie błyszczy w nich światło wysokiego intelektu; nie zwiodą mnie piękne maniery, jeżeli im nie towarzyszy szczerość uczucia lub prosty wdzięk dobroci!... Sir Jerzy Lionel nie podoba mi się. Jest wymuszony, afektowany, niesmaczny. Widać odrazu, że jest pewny swego powodzenia. Mnie tymczasem nie wzrusza wcale.

Traktuje mnie jednak wytwornie i nigdy nie czyni najmniejszej aluzji do mojej przeszłości, którą teraz pewnie zna, ani do mego położenia obecnego. Pod tym względem znalazłam tu u wszystkich taka uprzejmość i delikatność, że większej nie mogłabym żądać ani pragnąć.

Ale wewnątrz,.. ach, wewnątrz! Nikt nie może uleczyć tej rany, która nie zasklepi się nigdy. Nikt!...

8 listopad.

Deszcz pada od dwóch dni i nasi goście przerwali polowanie.

To zburzyło równowagę naszych lekcyj codziennych, gdyż sir Herbert nie może sam bawić wszystkich swych gości. Na miss Lawinię niepodobna liczyć, zatem ja i Lorenzo zmuszeni jesteśmy pomagać baronowi.

Wczoraj, aby jakoś przepędzić czas, sir Herbert wysłał kilka zaproszeń do małych przyjaciółek Daisy, które mieszkają w okolicy, a dzisiaj w porze herbaty, pod pretekstem odprowadzenia dziewczynek przyszły niektóre panie.

Jestem może zła, ale nudzi mnie wprowadzenie elementu kobiecego do naszego życia; to dlatego, że doskonale pamiętam wieczory i przyjęcia domowe u nas w domu i znam z doświadczenia niemiłosierne obmowy i plotki na zebraniach kobiecych.

I nie bez racji obawiamy się ich zawsze. Jak się zresztą spodziewałam, nie brakło dzisiaj docinków pod moim adresem. Po raz pierwszy odkąd tu jestem, doznałam upokorzenia, gdyż przypomniano mi moją zależność.

Może było to dobre dla mnie, to ukłucie miłości własnej, które mnie spotkało. Tutaj traktują mnie bardzo dobrze, ze znacznie większym szacunkiem, niż mi się rzeczywiście należy. I pozwoliłam się ukołysać i uśpić temu powodzeniu, jakby mi się ono z prawa należało.

Panie Maddeln podjęły się przypomnienia mi tego. Jakkolwiek sir Herbert przedstawił mnie każdej z nich z osobna, udawały ciągle, że mnie nie spostrzegają i w ciągu całego popołudnia nie odezwały się do mnie ani razu.

Wyznaję, że czułam jak łzy bólu i gniewu, ściskają mnie za gardło. Sir Herbert spostrzegł to chyba, gdyż kilkakrotnie ostentacyjnie zwracał się do mnie w rozmowie, bardzo grzecznie, aby pokazać tym paniom, jakimi względami cieszę się u niego, a lord Dudley ofiarował mi ramię i poprowadził do salonu, w którym niektóre panienki zabawiały się muzyką. Sir Herbert poprosił mnie, abym coś zagrała i usłuchałam go; potem, gdy tylko panie zaczęły mówić o teatrze, mężczyźni zapytali mnie, czy nie pamiętam jakiej arii z oper włoskich.

Śpiew był zawsze moją wielką namiętnością, ale tutaj nie śpiewałam jeszcze!

Wybrałam z pomiędzy moich nut partyturę „Trubadura“ i zaśpiewałam.

Och, mój Boże, z jakim śpiewałam zapałem! Była w tym cała nostalgia za moją daleką ojczyzną, która falą łez i szlochów wydobywała mi się z pod serca! były wspomnienia tamtych chwil minionych, ach, jak dawno! Była rozpacz mego osamotnionego serca, tęskniącego za swym snem o miłości i przywiązaniu.

Gdy skończyłam, wyznaję, że nie wiedziałam, gdzie jestem. Szczere powinszowania i żywy podziw mężczyzn przywołały mnie do rzeczywistości. Spostrzegłam wówczas, że miałam oczy pełne łez i zapragnęłam się oddalić.

Sir Herbert wyczuł to i poprosił mnie, abym odpoczęła w rogu salonu. W tym odosobnionym trochę schronieniu zaczynały się zagnieżdżać cienie zmroku. I dlatego nie zauważyłam w pierwszej chwili fotelu Lorenza, stojącego za moim krzesłem. Usłyszałam tylko jego stłumiony, trochę drżący głos, gdy szeptał z gorącym podziwem:

— Jak ty śpiewasz, jak ty śpiewasz!...

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Tajemnica

zamkniętego gabinetu

— Odstąp! A my — zwrócił się do Kobylańskiego i Downara — przejdziemy do gabinetu zbrodni.. Tam wyjaśnię wam, jak zabito Erazma Stokowskiego i zdemaskuję tajemnicę Ozyrysa. Pan, aspirancie Kobylański, będzie protokółował w zastępstwie nieobecnego Adama Billewskiego, a pan, inżynierze, podpisze protokół wizji jako świadek.

— A pan aspirant Billewski, ta pani i... ta groźba...

— Gwiżdżę na nią, Kobylański, możecie mi wierzyć..

Po tym ekscentrycznym oświadczeniu inspektora, Wielgus odszedł podniecony w najwyższym stopniu, zaś Bernard Żbik i pozostali dwaj przeszli wolno w kierunku szerokich drzwi gabinetu świętej pamięci bankiera.. Detektyw pchnął ozdobną klamkę, jak przed jedenastoma godzinami, wszedł za pozostałymi i usiadł spokojnie na fotelu za biurkiem, w tym samym miejscu, gdzie znaleźli trupa Erazma Stokowskiego.

Inżynier Downar oczywiście sięgnął po papierosa, zapalił go i spojrzał uważnie na skupioną twarz inspektora. Kobylański wyjmował właśnie ołówek i notes policyjny. Pierwszy sekretarz zamordowanego bankiera spokojnie położył zapałkę na brzegu popielniczki i rzekł cicho:

— Niech pan nie gwiżdże tak lekkomyślnie na groźbę Ozyrysa. Nastawiłem mechanizm dynamitowej bomby na kwadrans po trzeciej. Tak, że wybuch nastąpi punktualnie za szesnaście minut.

Mały, oksydowany browning z rurką tłumika w ręku Edwarda Downara nawet nie drgnął przy tych niespodziewanych słowach.

XVI.
Przeznaczenie.

Było coś zdecydowanie groźnego w tych cicho wypowiedzianych słowach. Bernard Żbik zrozumiał, że popełnił błąd psychologiczny: Edward Downar, morderca, okazał się o wiele silniejszym niż detektyw psycholog obliczył i zamiast przeciągać strunę postawił sprawę na ostrzu noża, przestał się ukrywać i... wcale jeszcze nie znajdował się na pograniczu „shocku".

— Podnieście ręce do góry! — rozkazał spokojnie i dopiero teraz odwiódł bezpiecznik, który to szczegół dowodził jeszcze raz, że zbrodniarz był najzupełniej przytomny.

Kobylański spełnił polecenie w ślad za inspektorem, który nie zawahał się ani przez sekundę, albowiem zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że najmniejszy podejrzany ruch grozi w tej samej chwili natychmiastową śmiercią, jaka zionąć może bez pardonu z czarnego otworu małej lufki browninga. Za szesnaście minut — rozważył jednocześnie — to duży szmat czasu. Może Wielgus domyśli się tam za drzwiami, że coś zaszło i wejdzie i...

— Jeżeli ktoś zapuka — odpowie pan zwykłym głosem, że nie można wejść. Jeżeli spróbujecie alarmu, zastrzelę was obu. — Downar zdawał się czytać w myślach inspektora. — Nie mam przecież nic do stracenia. Pan, inspektorze, wie o tym równie dobrze jak ja.

Piętnaście i pół minuty. I ten człowiek, pomimo imponującego opanowania nie może być w takiej sytuacji zupełnie normalny. Niepodobna, aby podwójne morderstwo w połączeniu ze stanem psychologicznym, jaki doprowadził do jego wykonania, a ponadto jedenaście godzin przebywania pod grozą aresztowania i szubienicy — aby to wszystko nie zostawiło wpływu na korze mózgowej człowieka, i do tego osobnika zdegenerowanego w założeniu, bo mordercy?

— I co panu z tego przyjdzie, jeżeli nawet spowodujesz śmierć jeszcze dwojga osób, Edwardzie Downar? Czy sądzi pan, że ujdziesz dłoni sprawiedliwości?

— To nic pana nie obchodzi. Ważniejsze jest, że jeżeli ja nie zatrzymam na czas mechanizmu bomby — aspirant i Janina zginą.

— Lecz to pana nie uratuje, Downar. Pańska gra jest skończona.

— Zobaczymy. Twierdzę, że mnie nie dostaniecie. Proszę nie sądzić, że myślę o samobójstwie.. Ja ucieknę.

Co za pewność siebie, graniczącą z manią. Inspektor myślał z piorunującą szybkością. Miał przed sobą człowieka niezbicie patologicznego, mordercę, osobę o zdegenerowanym, a więc chorym umyśle. Nie odgrywała tu roli kwestia przyczyny zbrodni i jej techniki, zresztą zupełnie jasnej i wcale nie cudownej, a tylko piekielnie sprytnie pomyślanej.

— Wyjdę teraz — zaczął Downar — a wy nie krzykniecie. Zachowacie się spokojnie, aż ja zamknę za sobą drzwi. Niestety, na późniejsze minuty nie mogę wam nic nakazać.

— Głupstwa pan gada, Downar. Ujdzie pan trzy kroki i padniesz trupem od kul.

Żbik wiedział, że ma przed sobą zbrodniarza logicznego i mądrego, wszystkie jego czyny dowodziły tego niezbicie. Z takim osobnikiem nie należy nigdy uciekać się do powieściowych efektów. Rozumnego człowieka — a i morderca może być takim — można nabrać tylko rozumnie.

— Ma pan rację, inspektorze — detektyw nie zdziwił się wcale tej odpowiedzi.. — Wobec tego wyprowadzicie mnie obaj, ja będę szedł za wami, aby strzelić przez kieszeń w razie potrzeby.

— I mam pana wyprowadzić na ulicę, wsadzić do taksówki i odwieźć z honorami na dworzec główny? Paszport i wizy przygotował pan chyba, Downar?

Inżynier wysunął groźnie rewolwer.

— Bez kpin, inżynierze. Chwila jest po temu najmniej odpowiednia.

— Ależ pan sam kpi, inżynierze.

— Ja nie żartuję, gram w otwarte karty.. To co pan jako człowiek mądry, powinien najbardziej cenić — czyli życie inspektora Bernarda Żbika w zamian za moją ucieczkę...

— I co jeszcze?...

— Nie przerywać! — warknął morderca, a odważny inspektor poznał w tej chwili, co to strach. — Triumf zdemaskowania niesamowitego inżyniera Downara i tak przypadnie panu w udziale.. Zresztą, nie ma pan innego wyjścia...

Inspektor nie mógł się oprzeć wrażeniu, że Edward Downar rozkoszuje się swą przewagą i z przyjemnością przysłuchuje się własnym słowom.

— Mam wyjście — mogę przecież krzyknąć.

— To byłby ostatni dźwięk w pańskim życiu.. Strzelam doskonale i możecie mi wierzyć, że zabiję was dwiema kulami, jeżeli nie usłuchacie. To daje mi bądź co bądź jakąś szansę — wykorzystanie zamieszania wynikłego na widok trupa sławnego i kochanego inspektora Bernarda Żbika. Wytrzymam kilkominutowe oblężenie

i potem nastąpi wybuch — nową szansą ucieczki, podczas gdy dobrowolne poddanie się, które pan mi chce zaproponować, nie przedstawia dla mnie żadnej wartości.

— Podziwiam pańską zimną krew, Downar. Przyznaję, że dotychczas nie spotkałem tej klasy i miary zbrodniarza.

— A ja nie mam najmniejszego zamiaru dać się wziąć na głupie słowa i pseudo-komplementy i tracić bezcennego czasu, inspektorze.. Nie jestem dzieckiem i nie weźmie mnie pan na taki zwany ambit. Przy obliczeniu planu tej zbrodni wziąłem pod uwagę nawet obecną sytuację. Daję panu jedn— minutę czasu do namysłu, więcej nie mogę.

Inżynier Downar — spojrzał na zegarek. Rewolwer w jego drugiej dłoni skierowany był wprost w piers inspektora.

— A jeżeli nie usłucham — zapytał Żbik spokojnie, gdyż mimo wszystko postanowił nie tracić zimnej krwi.

— Po upływie tej minuty — ciągnął Downar, jakby wcale nie słyszał pytania — zastrzelę pana i aspiranta Kobylańskiego. Drzwi są dość szczelne, a ja mam tłumik na lufie.. Potem wyjdę spokojnie i jakoś wyrwię się pańskim wywiadowcom, którzy jeszcze o niczym nie wiedzą i widzieli przedtem jak przez cały czas rozmawiałem z panem spokojnie i po przyjacielsku — jako niepodejrzany.

— I co potem, inżynierze? Drzwi na ulicę są strzeżone przez piętnastu policjantów w hallu..

— Jeszcze czterdzieści dwie sekundy, inspektorze — Downar uśmiechnął się cynicznie. — Wybuch bomby ma specjalny cel. Otworzy mi wyłom w murze do ogrodu, skąd pan tak wspaniałomyślnie cofnął oba posterunki, wznieci alarm i pożar. A wtedy, już mnie nie schwytacie.. Jak pan widzi, przewidziałem wszystko. Tylko mądry inspektor Żbik przeliczył się co do moich nerwów.. Jeszcze trzydzieści sekund.

Cofnął się o dwa kroki i stanął oparty plecami o drzwi. Położył lewą dłoń na klamce. Bernard Żbik nie wątpił, że ten morderca spełni swą groźbę i myślał z tragicznym natężeniem. Ale nic nie mógł wymyśleć w takiej chwili. Popełnił rzeczywiście błąd o jakim wspomniał Downar.. Niedocenił siły jego nerwów, potężnych niczym struny stalowe..

— Dobrze.. Pójdę przed panem, inżynierze. Ale i tak...

— Dość! — warknął morderca cicho.. — Szkoda mego czasu.

Włożył rewolwer do kieszeni marynarki i nie wyjął ręki..

— Idźcie przodem, Kobylański pierwszy, pan drugi. Jeżeli zauważę najmniejszy podejrzany ruch, który mi się nie spodoba, będzie to ostatni ruch w pańskim życiu.. A pan — zwrócił się do Kobylańskiego — także spokojnie, bo z kochanym inspektorem koniec. Jeżeli mam zginąć w tym domu, będę miał zaszczyt w towarzystwie.. Marsz! Ręce w dół! Uważać na własne twarze i oczy!

Kobylański wyszedł pierwszy, inspektor za nim, a trzeci morderca z ręką w kieszeni i z rewolwerem w tej ręce. Bernard Żbik nigdy by nie uwierzył, że może zaistnieć taka sytuacja, gdyby jej sam nie przeżył.. Wiedział, że za nim postępuje bezlitosna śmierć, szybka jak uderzenie pioruna.. I dlatego nie uczynił najmniejszego dwuznacznego ruchu..

Wielgus spojrzał na twarz swego szefa, ale nie wyczytał z niej nic. Wobec tego odsunął się w milczeniu wraz z trzema wywiadowcami-kolegami.. Na szczęście Żbik przyzwyczaił swoich podkomendnych, aby nigdy nie odzywali się pierwsi..

— Zostaniecie tu — rzekł inspektor spokojnie i nie drgnął, gdy poczuł nacisk lufy na kości krzyżowej.

— Idziemy na trzecie piętro, prawda, panie inspektorze? — zapytał morderca bez wzruszenia w głosie.

Przed drzwiami mieszkania Downara zatrzymali się wszyscy trzej.

— Trzymaj klucz i otwórz! — syknął sekretarz i wręczył wymieniony przedmiot Kobylańskiemu..

Weszli..

Bernard Żbik odrazu zauważył leżących na tapczanie skrępowanych: Janinę Stokowską i Adama Billewskiego. Nie zdziwił się. Od chwili gdy domyślił się, że mordercą może być tylko Edward Downar, wiedział, że jedynie w jego mieszkaniu, w jedynych pokojach, których nie rewidowano, mogą być ukryci uwięzieni i... nieuchwytny zbrodniarz. A mordercą musiał być tylko inżynier Edward Downar, bo...

— Później będzie pan miał czas na rozmyślania. Teraz proszę mi wydać swój rewolwer. I pan również zwrócił się do Kobylańskiego.

Ale tego było już Żbikowi za dużo. Błyskawicznym ruchem podniósł nogę i... syknął z bólu. Uderzenie trzonem sztyletu w jabłko stawu kolanowego pozbawiło go na chwilę zdolności ruchów. Morderca schował zakrzywiony nóż do kieszeni.

— Teraz zaniecha pan oporu, jak sądzę. Nie zraniłem pana, ponieważ nie czuję do was urazy, za to, że mnie chcecie schwytać, to wasz obowiązek, jako oficerów policji. Erazm Stokowski zginął, bo mu się należało. Jerzy Makarski nie żyje — bo był głupi. Gdy jednak pański upór, inspektorze, stanie na drodze mojej ucieczce — zabiję pana i to będzie logiczne..

„To będzie logiczne" — co za charakterystyczne słowa. No tak, inspektor rozumiał to zupełnie dobrze. Pojmował, że dzięki nabitej broni w ręce, zbrodniarz ma nad nimi przewagę i musiał milczeć i poddać się tej przewadze.

— Widzi pan, ja zawsze dotrzymuję słowa. Gotowe... — rzekł Downar.

Detektyw wiedział jak przekręcił i przeciął drut miedziany, wijący się po podłodze ku oknu w stronę kaloryferu i domyślił się, że to kontakt zapalny wspomnianej bomby. Lecz to było teraz nieważne! Trzeba zyskać na czasie, za wszelką cenę. Przecież oni tam na dole, muszą się w końcu zorientować, że coś jest nie w porządku, może powezmą podejrzenie i przyjdą i...

Uśmiechnął się z doskonale udanym odcieniem ironii w oczach i zapytał.

— Downar, pan nie jest przecież inżynierem geodetą, prawda?

— Bez względu na to, kim jestem, nie uda się panu zbić mnie z tropu, inspektorze. Ja wiem o czym pan myśli. Zyskać na czasie, co?

— Oczywiście — przyznał Żbik, którego ten niezwykły typ zbrodniarza zaczął interesować, jako psychopatologa. Downar jest niewątpliwie anormalny, ale gdzie znaleźć jego locum minoris resistentiae.

— Dlaczego pan się właściwie pierwszy przyznał do winy?

Zbrodniarz odpowiedział uśmiechem na uśmiech..

— Po co nam to wygłupianie się, inspektorze. Pan chce zyskać na czasie, z myślą, że jednak ktoś tu w końcu zajrzy i nie zdaje pan sobie sprawy, że to przecież równałoby się pańskiej śmierci. Powinno panu bardziej zależyć na utrzymaniu ciszy, niż mnie, który ostatecznie nie-

wiele ma do stracenia — bo nie dam wziąć się żywcem..

— Więc po co tyle gadać, Downar. Przecież pan i tak nie ucieknie. Przypuśćmy, że mnie pan zastrzeli w jakim celu, człowieku, który chcesz zasługiwać na miano logicznego. Na dole czekają moi ludzie, dom jest obstawiony, nikt nie otworzy drzwi bez mojego rozkazu.

— Ale pan wyda ten rozkaz, inspektorze.

— O tym niema mowy, Downar. Raczej pozwolę się zabić. .

— Słowa, tylko czcze słowa, które nie przystoją nawet mądremu Bernardowi Żbikowi. Pan wie, że spełnię mą groźbę, o ile pan nie zejdzie ze mną i nie wypuści mnie..

— I co dalej.. Radiostacja Centrali Służby Śledczej zaalarmuje całą Polskę. Będzie pan gnany jak pies z miejsca na miejsce i w końcu... caput. Polska policja śledcza to nie przelewki.

— Pan jest mądry, inspektorze. Teraz dla odmiany pean pochwalny na cześć policji. Wzniosłe i szlachetne — nie ma co.

Głos mordercy stężał naraz, a rysy twarzy spoważniały.

— Uważać, inspektorze!

Zręcznym ruchem wyciągnął rewolwery z kieszeni Żbika i Kobylańskiego i rzucił je na szafę. Wskazał lufą swego browninga sąsiednie drzwi i rozkazał krótko:

— Proszę tam wejść, panie Kobylański. Inspektor zostanie, aby mnie odprowadzić. I bez alarmu, bo w przeciwnym razie unieszkodliwię pańskiego zwierzchnika na zawsze.

Bernard Żbik usłyszał trzask zamykanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Kobylański był zamknięty. Lecz inspektor zaniepokoił się czymś innym: Zarówno Janina Stokowska jak i Adam Billewski, leżący oboje skrępowani na tapczanie nie dawali znaku życia. Inżynier Downar, który obserwował każdy ruch detektywa, zauważył jego pytające, niespokojne spojrzenie i wyjaśnił krótko:

— Narkotyk. Nie mogłem ryzykować. A teraz pan mnie wyprowadzi. Tylko bez ekstrawagancji, proszę. To jest dla mnie jedyna szansa, a ją nie zaniedbałem jeszcze żadnej szansy w życiu.

Inspektor spojrzał na zegarek na swoim przegubie. Czwarta. Dwanaście godzin minęło od chwili odkrycia zbrodni. Czy, wkraczając tu, mógł się spodziewać, że wyjdzie stąd tak, jak to obliczał Downar. Że wyprowadzi „własnoręcznie“ mordercę! A jednak, nie widział nadziei ną sytuacji. Adam uwięziony, jedyny współpracownik. który mógłby podjąć coś z własnej inicjatywy.

Poczuł na sobie przenikliwy, bystry wzrok inżyniera.

— Schowam rewolwer do kieszeni, jak przedtem. Pan pójdzie obok mnie, z prawej strony. Nie odpowie pan na żadne pytania swoich agentów, będziemy spacerowali wolno, jakby nic nie zaszło. Dojdziemy do drzwi, pan rozkaże je otworzyć, wyjdziemy razem. Co dalej, zobaczymy..

— I pan wierzy w swą ucieczkę, Downar?

— Jestem jej pewny.. Początkowo miałem zamiar uciec przez wyłom po wybuchu, wykorzystując zamieszanie, pożar i...

— I swoje alibi — dokończył Żbik.

— Tak. Teraz jednak zmieniłem plan, bo pan zbyt wcześnie odkrył swoje karty. Przeliczył się pan, inspektorze. — powtórzył z wyraźnym odcieniem zadowolenia w głosie..

Bernard Żbik stał nieporuszony.. Już przestał rozważać możliwości kontrakcji, gdyż w tej chwili nie widział ani jednej z nich.. Mógł liczyć tylko na cud — ale w cudy Wielki Psycholog nie wierzył.

— Co oznacza Ozyrys, inżynierze? — zapytał naturalnym głosem, albowiem pogodził się już z sytuacją.

— Powiem panu już w samochodzie. W tej chwili musimy iść. Pan jest genialnym detektywem, inspektorze. Nie spodziewałem się tak szybkiego zdemaskowania.. I ja się nieco przeliczyłem.

Zapalił nerwowo papierosa..

— Idziemy...

Włożył, jak pprzednio prawą rękę z rewolwerem do kieszeni marynarki i ujął za klamkę.

W tej samej chwili rozległo się głośne, stanowcze pukanie do drzwi. Zbrodniarz zbladł, ale nie wyjął ręki z rewolwerem z kieszeni.

— Co to... — szepnął, a wszystka krew uciekła mu z twarzy.

— Nie wiem — stwierdził inspektor zgodnie z prawdą. Zrozumiał, że zbliża się chwila decydująca. Cud? Czy zarządzenie Opatrzności? Dłoń Sprawiedliwości? Bzdury...

Pukanie powtórzyło się i drzwi uchyliły się wolno. Ukazała się w nich roześmiana, jaśniejąca radością twarz tego fircyka, podkomisarza Skurskiego. Nie zwrócił uwagi na Downara, na widok inspektora podszedł bliżej i uśmiechnął się ponownie.

— Nie mogłem wytrzymać, panie naczelniku. Musiałem, od razu panu donieść, choćby o czwartej nad ranem — mówił szybko i chaotycznie pod wpływem radości.. — W sześć godzin! Czy teraz powie pan jeszcze, że ja wstąpiłem do policji jedynie dla tytułu podkomisarza! Mamy go!

Inspektor widział prawe ramię bladego Downara i nie chciał ryzykować. Nie mógł jednak milczeć, gdyż i to byłoby ryzykiem.

— Kogo macie!?

— Tego zaginionego kupca. Wcale nie był zaginiony. Zwykłe bankructwo złośliwe i ordynarny kant ubezpieczeniowy. Zrobił strasznie głupią minę, gdy wygłosiłem formułkę i nałożyłem mu bransoletki. Z tym może nawet trochę przeholowałem przyznaję.. Ale jak ja go znalazłem — można by to opisać w powieści sensacyjnej! I od razu przybiegłem tu, aby się pochwalić przed panem inspektorem.. Bo ja nie wstąpiłem do policji tylko dla tytułu i zabolało mnie, gdy pan inspektor to powiedział. Ja...

Uspokoił się wreszcie, kochany smarkacz, i umilkł zażenowany. Inspektor uznał, że trzeba coś uczynić. Albo teraz — albo wcale..

— Jak pan znalazł, podkomisarzu.. Bo przecież...

W tej chwili zasyczał cichy wystrzał. Inspektor rzucił się w bok, lecz było zbyteczne. Podkomisarz Skurski zorientował się nieprawdopodobnie szybko i skoczył. Padł na ziemię z jękiem, trzymając się za trafione ramię, ale inżynier Downar, morderca, tkwił już w tej sekundzie w kleszczach żelaznego chwytu inspektora Żbika.

Podkomisarz Skurski widział całą scenę. Wciąż leżąc na ziemi uśmiechnął się do kochanego szefa i rzekł przez łzy-bólu:

— Bransoletki..., w mojej... kieszeni... automatyczne...

I zemdlał, tak że nie słyszał już donośnego gwizdu Bernarda Żbika, na którego sygnał pierwszy nadbiegł Rogalski, a za nim Stefan i inni. Detektyw wskazał na Downara i rozkazał bez gniewu:

— Oto morderca.. Trzymajcie go dobrze, chłopcy..

— Jeszcze jak! — panie inspektorze.. Samobójstwo policyjnie wzbronione — błysnął oczyma rozradowany Wielgus..

— Trzymaj się wiatru, najdroższy, jako rzekł abisyński kat do swej bogdanki, gdy...

(Dokończenie w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 1 sierpnia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 10.45 Orkiestra salonowa pod dyr. T. Seredyńskiego 12.03 „Wśród wichrów i burz" — poranek muzyczny 13.10 „Na swojską nutę" — koncert ork. dętej Och. Straży Pożarnej w Kaliszu 14.40 Audycja dla dzieci starszych 15.00 Audycja dla wsi 16.00 Koncert rozrywkowy 16.30 Duety operowe 17.00 Wznowienie komedii „Rozwód" 17.25 Pływackie zawody międzyrozgłośniowe 18.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 20.00 Z muzyki baletowej Czajkowskiego 21.00 „Pawilon piosenek" — wesołe audycje (ze Lwowa) 22.00 Robert Schumann „Karnawał" 22.30 „Dwa wirtuozi altówki" (płyty).

Poniedziałek, dnia 2 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.15 Pogadanka dla gospodyń wiejskich 12.23 Motywy polskie w muzyce obcej (płyty) 14.20 „Od warsztatu do warsztatu": „W kuźni" 16.15 Recital skrzypcowy Bronisławy Ney 17.00 Koncert chóru T-wa „Estonia" w Tallinie 18.15 Pieśniarze francuscy (płyty) 19.00 Audycja żołnierska 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „Kapral Szczapa" — opowiadanie K. Krzewskiego 22.00 Recital śpiewaczy Marii Dobrowolskiej-Gruszczyńskiej 22.25 Muzyka Chopina w różnym ujęciu (płyty).

Wtorek, dnia 3 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra Reprezentacyjna Policji Państwowej 16.00 „Czym jest twój tatuś? — budowniczym" — aud. dla dzieci 16.20 Kwartet fortepianowy L. v. Beethovena Es-Dur 16.45 „Gniazdo sieroce pod magnackim dachem" — felieton 17.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P.R. 18.15 Walce z filmów dźwiękowych (płyty) 19.00 „Król kiermaszu" — skecz Alfreda Chrzanowskiego 19.15 Recital skrzypcowy Zdzisława Roesnera 20.00 „Moda i zbytek" — wodewil 21.05 Lekkie melodie i piosenki (z Krakowa) 21.45 „Kapral Szczapa" — opowiadanie K. Krzewskiego 22.00 Koncert Orkiestry Wileńskiej.

Środa, dnia 4 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Łódzka Orkiestra Salonowa pod dyr. T. Rydera 16.00 „O literackiej szychcie" — szkic G. Morcinka 16.15 Koncert solistów (ze Lwowa) 17.00 Koncert rozrywkowy 17.50 „Każdy może być elektrotechnikiem w swoim domu" 18.15 Marek Weber i Albert Sandler grają utwory Heykensa i Kinga (płyty) 19.00 Słynni dyrygenci 16 audycja 20.00 „Czterech i piosenka" — lekki koncert 21.00 Koncert chopinowski w wyk. F. Łukasiewicza 21.45 „Kapral Szczapa" — opowiadanie K. Krzewskiego 22.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

Czwartek, dnia 5 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert rozrywkowy 16.00 „Na siodełku motocykla" — pogadanka 16.15 Muzyka salonowa 17.10 Symfonie Beethovena — 4 audycja 18.15 Muzyka lekka z udziałem chóru Dana (płyty) 19.00 „Piosenka legionowa na kwaterze" — słuchowisko 20.00 Koncert Orkiestry Wileńskiej 21.15 Transmisja z ogniska harcerskiego na Międzynarodowym Zlocie Skautów w Holandii 21.45 „Kapral Szczapa" — opowiadanie K. Krzewskiego 22.05 Utwory fortepianowe na 4 ręce i pieśni.

Piątek, dnia 6 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Orkiestra wojskowa (z Poznania) 16.15 Chór mieszany Stowarzyszenia Kolejarzy Śląskich 16.45 Polacy w srebrnym kraju — reportaż Jerzego Marlicza 17.00 „1000 taktów muzyki" w wykonaniu zesp. S. Rachonia 17.50 O zatruciach mięsem — pogadanka 18.20 Wiązanka melodii Abrahama i Benatzkiego (płyty) 19.00 Transmisja z Oleandrów startu do marszu „Szlakiem Kadrówki" 20.00 Pieśni powstałe po wymarszu Kadrówki 21.00 Nasze tańce gra Mała Orkiestra P.R. 21.45 „Kapral Szczapa" — opowiadanie K. Krzewskiego 22.00 Recital śpiewaczy A. Michałowskiego 22.30 Mieczysław Karłowicz: Rapsodia litewska — poemat symfoniczny (płyty).

Sobota, dnia 7 sierpnia 1937 r.

6.15 Audycja poranna 12.25 Koncert Orkiestry Wileńskiej 16.00 „Poszedł Marek na jarmarek" — wesoła aud. dla dzieci 16.30 Hiszpańskie Melodie — koncert 17.50 Lasy nad Wartą i Wisłą — pogadanka 18.15 Walce operetkowe w wykonaniu wokalnym (płyty) 19.00 Reprezentacyjna orkiestra Kolejowa (z Katowic) 20.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.05 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.

HUMOR

ZA NIC W ŚWIECIE

— Biedny człowieku, może przysłać wam żonę, aby was pocieszyła.

— Czyś pani oszalała! Przecież przebywam w więzieniu za bigamię.

FAŁSZYWA WAGA

Żona: — Mężu, zdaje mi się, że mi to zaszkodzi. Roztyłam się bardzo. Ważę teraz 80 kilo.

Mąż: — Co, 80 kilo, to niemożliwe?!

Żona: — Dopiero ważyłam się dziś.

Mąż: — Gdzie?

Żona: — W twoim składzie węgla.

Mąż: — No to bądź spokojna, ważysz tylko 60 kilo w takim razie.

SIEROTA....

— Halo! panowie nie uwierzycie, jak mi przykro!

— Doprawdy? I co?

— No, Mój Boże — żałujemy Go wszyscy, gdyż nie ma ani ojca, ani matki.

?

Tak! Ma pięćdziesiąt osiem lat.

PRZEKONAŁ GO

— Przyjdziesz dziś do nas?

— A będzie wesołe towarzystwo w domu?

— Owszem, mąż mej matki!

ZNA JĄ

Mąż: — Kupiłem dwa bilety do teatru.

Żona: — A to dobrze, zaraz się przebiorę.

Mąż: — Słusznie, zrób to, moja kochana, przedstawienie odbędzie się jutro wieczorem.

NARESZCIE

— Lekarz zabronił mojej żonie gotować!

— Co? Taka jest chora?

— Ona nie... ale ja!

TAJEMNICA

— Proszę pana! Kto to jest ten pan, któremu się tak wszyscy kłaniają?

— O! To jest znana osobistość! To tajny kierownik tajnej policji!

ROZTARGNIONY

— Gdyby pańska małżonka chciała mnie dziś zaprosić na herbatkę, byłbym bardzo zobowiązany, bowiem moja narzeczona odmówiła mi dziś, a ja i tak już kupiłem kwiaty...

PRAWDZIWE PERŁY

— Jak można odróżnić sztuczne perły od prawdziwych?

— To bardzo proste. Zanosi się perły do lombardu, jeśli są fałszywe, to lombard ich nie przyjmuje.

ZNAWCA

— Pan ma ciasne i wąskie mieszkanie.

— Zgadza się, ale skąd pan to wie?

— Poznaję to po pańskim psie. Wywija on ogonem nie z prawej na lewę stronę, ale z góry na dół.

WYMIJAJĄCA ODPOWIEDŹ

— Czy cieszyłaby się pani, panno Ewo, gdybym poprosił mamusię pani, by zechciała zostać moją teściową?

— Owszem... gdybym miała siostrzyczkę... nawet bardzo!...

NIEOMYLNY DOWÓD

Do pewnego sklepu spożywczego wchodzi sympatyczny starszy pan i pyta kupca:

— Czy ma pan sardynki w oliwie?

— Naturalnie!

— A czy ma pan także sardynki w oliwie z firmy Rosenzweig?

— Owszem! naturalnie!

— Czy one są coś warte?

— Czy są coś warte? — pyta kupiec — Ależ to są najlepsze sardynki w świecie.

— To mnie naprawdę bardzo cieszy! Ja jestem bowiem Rosenzweig i chciałem tylko panu udowodnić, że pan nie miał racji, pisząc mi w ostatnim liście, że mój towar... to śmiecie!

SYNEK LEKARZA

Niańka: — Zmówiłeś już paciorek?

Jaś: — Już.

Niańka: — A prosiłeś na końcu o zdrowie dla mamy?

Jaś: — Tak.

Niańka: — I dla taty?

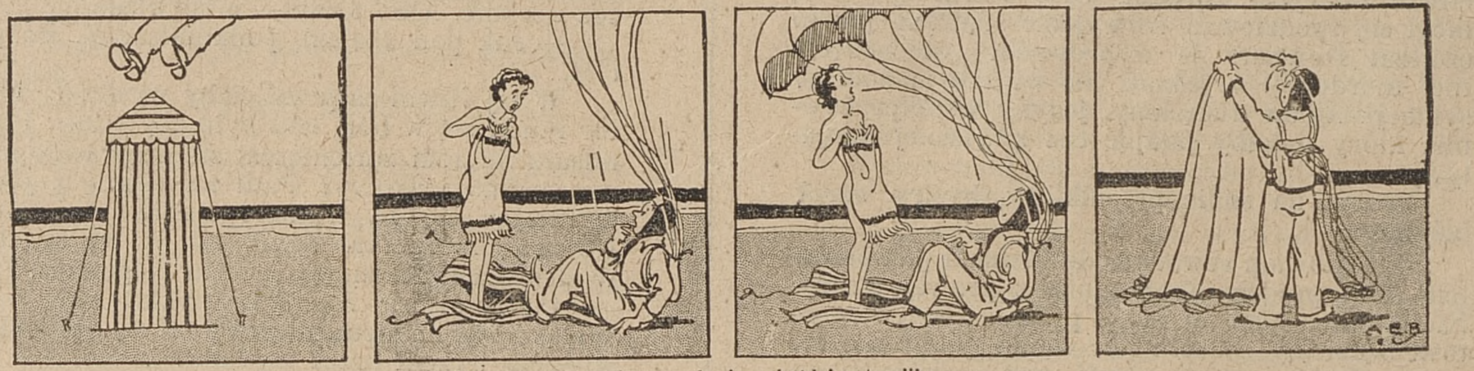
Jaś: — Tak.

Niańka: — I dla wszystkich?

Jaś: — O nie, bo tatko nie miałby roboty.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

PP. Kujawa Konrad z Juńcewa i Hereda Teofil z Renardowic. Rozwiązania zadań dobre, ale ponieważ Panowie rozwiązali tylko po jednym zadaniu, przeto nie zakwalifikowaliśmy ich rozwiązań w poczet trafnych.



Prawdziwy dżentelmen wybrnie z każdej sutuacji!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preunumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.